GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1937 R.

Nr. 1–2 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 1-2
1937 R.
15 — I

STALI WSPÓŁPRACOWNICY: CZESŁAW BOBROWSKI, HENRYK GRENIEWSKI, STANISŁAW GRYZIEWICZ, ALEKSANDER IVANKA, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, MICHAŁ KACZOROWSKI, PIOTR KALTENBERG, ZDZISŁAW ŁOPIEŃSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, WITOLD PTASZYŃSKI, JACEK RUDZIŃSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, BOLESŁAW WŚCIEKLICA, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI redaktor [1])

RACJA STANU

Koniec i początek roku kalendarzowego nie zamyka ani nie rozpoczyna żadnych procesów kształtujących życie narodów. Termin noworoczny dla dokonywania obrachunku z minionej przeszłości jest terminem umownym, tradycyjnie przyjętym. Tradycja ta mimo swą sztuczność jest bezspornie pożyteczna, gdyż zmusza ludzi, pochłoniętych natłokiem ciągle nowych, aktualnych i absorbujących wydarzeń do chwili refleksji, do obejrzenia się wstecz na drodze, którą się przeszło i do zastanowienia się nad dalszym ciągiem marszu.

Zazwyczaj korzystaliśmy z tego noworocznego zwyczaju dla podejmowania próby określenia w zbiorowym artykule bądź to naszego stanowiska wobec podstawowych zadań, bądź też metody naszej pracy. Tym razem stawiam sobie zadanie nieco odmienne, wykraczające poza sprawę pracy naszego czasopisma.

Nie ulega dla nikogo wątpliwości, że z każdym rokiem przybywa nam jako państwu i jako społeczeństwu doświadczenia, że z każdym rokiem pogłębiamy naszą znajomość rzeczywistości polskiej, że z każdym rokiem myślenie szablonami w pewnej mierze ustępuje na rzecz myślenia, opartego o głębsze doświadczenie i głębszą analizę. Nie wyczerpuje to jednak problemu rozwoju i pogłębienia polskiej myśli gospodarczej. Problem ten nie kończy się bowiem na sprawie ilościowych przemian w metodzie konstruowania i realizowania polityki gospodarczej, lecz obejmuje także nawet przede wszystkim zagadnienie podstawowej, jakościowej zmiany.

Miarą dojrzewania myśli polityczno - gospodarczej jest nie tylko, czy nawet nie tyle wzbogacenie wiedzy o faktach i pogłębienie analizy tych faktów, lecz narastanie syntetycznej koncepcji Racji Stanu — wytwarzanie się zespołu poglądów, opartych o pojmowanie polskiego gospodarstwa narodowego nie jako mechanicznej sumy jednostek gospodarczych, lecz jako samoistnej całości, posiadającej swe specyficzne cele i interesy, nie dające się wyprowadzić indukcyjnie z interesów jednostek.

Pojęcie Racji Stanu łączy się nierozerwalnie z pojęciem Państwa. Tem niemniej jednak dla określenia Racji Stanu nie sposób zatrzymać się na tym określeniu, nie sposób skonstruować wytyczne tej Racji Stanu inaczej, jak w oparciu o pojęcie Narodu (bez zwężania zresztą pojęcia Narodu do pojęcia grupy etnicznej). Oczywiście, że w ostatecznym rezultacie praktycznym wykładnikiem Racji Stanu staje się polityka gospodarcza Państwa, gdyż Państwo jest i podmiotem i przedmiotem tej polityki. Ale Państwo nie jest abstrakcją. Państwo to terytorium, bogactwa naturalne i wreszcie — co najważniejsze — to Naród, który stanowi żywą treść każdego państwa, to ten czynnik, który działa i tworzy, a w każdym działaniu uzewnętrznia swe właściwości psychiczne, ukształtowane przez dzieje. To też możemy rozszerzyć pogląd Stanisława Brzozowskiego, że nie ma kultury beznarodowej, dodając, iż nie ma beznarodowej polityki, ani ogólnej, ani gospodarczej.

[1]) Spis niniejszy zawiera nazwiska wyłącznie autorów członków klubu „Gospodarka Narodowa", którzy zamieszczali swe artykuły w roku 1936.

W kształtowaniu się racji stanu można wyodrębnić trzy fazy:

1) nieświadome wyczuwanie właściwych interesów, celów i dróg, zacierające się w czasie normalnym w walce partykularnych interesów, ale wybuchające w chwilach wielkich niebezpieczeństw narodowych;

2) uświadomienie interesów, celów i dróg poprzez żmudną pracę naukową, obliczenia, eksperymenty, doświadczenia, przekonywanie innych, walkę państwa z interesami partykularnymi itp.;

3) wyniki tej pracy przenikają w podświadomość narodową, stają się częścią umysłowości i charakteru narodowego, tak, że naruszenie lub zagrożenie Racji Stanu powoduje masowe reakcje automatycznie bez dowodzenia i przekonywania. Zdaje się, iż po dłuższych okresach czasu trzeba nawet specjalnie badać powody tych reakcyj, bo jej rozumowane uzasadnienie zostaje zapomniane.

Faza trzecia może powstać w państwach o starej kulturze, o nieprzerwanym istnieniu państwowym i o systemie politycznym, który sprzyjał przenikaniu podstawowych założeń Racji Stanu do najszerszych mas, słowem o systemie, który wychowywał masy w myśleniu kategoriami Racji Stanu. Narody zachodnioeuropejskie przeszły taką pracę w XIX wieku, kiedy parlamentarna demokracja była tą szkołą, uczącą masy myślenia o sprawach szerszych, niż własne podwórko.

My jako Naród takiej szkoły nie mieliśmy, a jako Państwo odrodziliśmy się w okresie kryzysu i przeżywania się demokracji parlamentarnej. Sto pięćdziesiąt lat niewoli oduczyło nas myślenia kategoriami Racji Stanu, to też proces kształtowania się Racji Stanu musiał u nas zaczynać się od swego stadium pierwotnego.

Historia, która jest pamięcią narodów, przekazała nam hasło, dobrze wbite w głowy, hasło twórców Konstytucji 3 maja — Skarb i Wojsko. Te dwa zagadnienia stały się od początku fundamentem Racji Stanu odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej. Był to z naszej strony objaw instynktu państwowego, bo skarb i wojsko to podstawowe i najbardziej pierwotne elementy Racji Stanu, bez których w ogóle nie można mówić o państwie. Od postawienia sobie tych postulatów jako zasad politycznych do przełożenia ich na język zadań i działań praktycznych jest jeszcze daleka droga. Społeczeństwo niejednolite, kształcone w ramach trzech odmiennych systemów politycznych, państwo połączone z trzech dzielnic, półtora wieku żyjących odrębnym życiem, nie umiało i nie mogło odrazu się zdobyć na jednolitą i konsekwentną politykę, kierującą się stale temi zasadami. A przy tem obok tych spraw wyrastały inne problemy, przedstawiające się ówczesnej umysłowości polskiej jako oderwane kwestie, a więc t. zw. „kwestia" socjalna, robotnicza, agrarna itd. Każda traktowana jako zagadnienie samo w sobie, uważana przez opinię publiczną za problemy partykularne, lansowane przez grupy społeczne i partie polityczne, jako ich wyłączny interes. Brakowało perspektywy czasu, brakowało przemyślenia, doświadczenia, przepracowania, by te wszystkie „kwestie" przełożyć na język zadań praktycznych, uszeregować je w jakimś porządku, ustalić ich hierarchię, powiązać w jakiś system polityki państwowej. To też w uświadamianiu i praktycznym realizowaniu podstawowych założeń panował w pierwszych latach niepodległości system działania na poszczególnych odcinkach, bez wiązania tych działań w jednolitą całość. Godzi się tutaj zaznaczyć, że już przygotowując zręby państwowości polskiej Józef Piłsudski stworzył wojsko, wyprzedzając inne dziedziny życia państwowego. Fundamenty skarbu — później — wymurował Władysław Grabski.

W dalszym etapie zagadnienie Skarbu i Wojska zostaje postawione świadomie i łącznie, jako naczelna wytyczna polityki Państwa. Ale poszczególne „kwestie" wciąż pozostają „kwestiami", domenami partykularnych interesów, tematami wyżywania się publicystycznego, hasłami agitacyjnymi, toastami bankietowymi, wciąż nie mogą być sprowadzone do wspólnego mianownika, do jednej Racji Stanu.

Polityczna Racja Stanu wyprzedza w swym rozwoju gospodarczą, nie nawiązuje z nią kontaktu, nie ma ustawicznego poczucia i świadomości, iż środki materialne dla realizacji celów politycznych daje gospodarka. Dużo np. upływa czasu zanim postulat dostępu do morza realizuje się materialnie w postaci Gdyni i stworzenia floty handlowej. Zagadnienie utworzenia i utrzymania na należytym poziomie wojska realizuje się praktycznie jak gdyby w oderwaniu tego zagadnienia od całości problemów naszego życia społeczno-gospodarczego. Było to posunięcie niezbędne z punktu widzenia taktyki politycznej, odrywało bowiem sprawę wojska od chaosu myślowego, jaki panował w całości naszego społeczno-państwowego życia i myślenia. Dla pierwszej fazy zadania — organizacji armii — takie postawienie sprawy zupełnie wystarczało, i oddało olbrzymie usługi. Ale gdy przyszła faza druga — organizacja obrony narodowej — wówczas związek spraw militarnych z całością życia gospodarczego i społecznego musiał wystąpić i czekać swego teoretycznego uzasadnienia oraz ideologicznej nadbudowy.

Zagadnienie Skarbu było również traktowane początkowo w sposób wąski i prymitywny — to znaczy

jako zagadnienie szkatuły skarbowej. Stąd nieunikniona konsekwencja — fiskalizm. Ale równocześnie szedł proces rozrastania się funkcyj i roli gospodarczej Państwa i w miarę narastania tego procesu rosły wpływy i zadania resortu skarbowego w odniesieniu do całości życia gospodarczego. Polityka resortu skarbowego stawała się merytorycznie coraz więcej polityką finansową, w której polityka czysto skarbowa była tylko fragmentem. I ten fragment wciąż narzucał swoje fiskalne metody i swój wąski punkt widzenia. Powstaje problem, by politykę czysto skarbową sprowadzić do właściwej jej roli i właściwego znaczenia w ogólnym kompleksie polityki gospodarczej.

Ujawnienie się w praktyce życia i rządzenia związków, współzależności między zasadniczymi elementami Racji Stanu a funkcjonowaniem poszczególnych odcinków życia społeczno-gospodarczego stanowi treść pracy myślowej społeczeństwa polskiego w latach ostatnich. Racja Stanu jest czemś, co się na ogół nie daje sformułować, czemś, co można tylko wyczuć. Dają się sformułować tylko poszczególne jej elementy, zwłaszcza te, które są w danej chwili najbardziej aktualne, a pozatem dają się formułować i konkretyzować zadania praktyczne, idące po linii realizowania Racji Stanu. Dokonanie tej pracy jest niezbędne, by Racja Stanu nie była czczem hasłem. Warto więc zanotować, jakie postępy uczyniliśmy w tej pracy.

Otóż zdaje się, że można stwierdzić, iż związek pomiędzy poszczególnymi elementami podstawowymi życia gospodarczego i społecznego został powszechnie uświadomiony w szerokich kołach opinii publicznej. Sposób stawiania zagadnień uległ również pewnym zmianom na lepsze, w sensie większej konkretności i lepszego przepracowania. W szczególności należy wskazać na uświadomienie problemu demograficznego i jego wszechobejmującego wpływu na wszystkie nasze poczynania gospodarcze, socjalne, wewnętrzno i zewnętrzno - polityczne. Zagadnienia dynamiki demograficznej, potencjału wojenno - gospodarczego, uprzemysłowienia, bezrobocia, ustroju rolnego, szkolnictwa, stanu zdrowotności, zaczynają być częściej omawiane łącznie, jako współdziałające ze sobą części jednego wielkiego organizmu gospodarstwa narodowego. Następuje proces integracji, proces poszukiwania syntezy myśli społeczno-gospodarczej w Polsce.

Nie łudźmy się, żeśmy zaszli w tym procesie zbyt daleko. Bardzo często jest to zamiana jednych ogólników czy frazesów na inne. Różnica jednak między frazesem a niefrazesem polega tylko na tem, czy ten, kto jakieś zdanie wypowiada, istotnie je przemyślał i przeżył. To samo zdanie, które w ustach wypowiadającego je jest tylko frazesem, może stać się wyznaniem wiary dla drugiego człowieka. A więc nawet powtarzanie frazesów, w których jest zawarta prawidłowa myśl, bywa niekiedy pożyteczne.

W tej sprawie trzeba stwierdzić, że zainteresowanie zagadnieniami naszego bytu państwowego, gospodarczego i społecznego wybitnie się rozszerzyło i że jest ono szczere. Jeśli traktowanie wielu spraw jest powierzchowne, to można wyrazić nadzieję, że czas będzie pracował na rzecz pogłębienia. Nadzieję tę można oprzeć na fakcie fermentu myślowego, który ogarnął szerokie koła myślącego społeczeństwa, fermentu, który stawia sobie cele szukania syntetycznego zespołu kryteriów dla decydowania o zadaniach praktycznych i nastawienie swej pracy na dalszą metę.

W kilku tylko słowach pragnę poruszyć sprawę roli, jaka w procesie uświadomienia sobie polskiej Racji Stanu przypada naszemu czasopismu. Od początku istnienia podstawowym założeniem redakcyjnym „Gospodarki" jest zawsze wykraczanie poza bieżącą aktualność, sięganie do zagadnień strukturalnych, a nie ograniczanie się tylko do problemów koniunktury, konfrontowanie ze sobą poszczególnych niezależnie kształtowanych stanowisk. Można więc powiedzieć, iż właśnie na tej płaszczyźnie, na płaszczyźnie dążeń do integracji poglądów i do wytworzenia hierarchii celów odnajdujemy rację bytu naszego pisma. W ostatnim okresie czasu wyszliśmy niejednokrotnie poza ramy „czystego ekonomizmu". Łatwo dopatrzeć się w tem echa owego fermentu myślowego, ogarniającego całe społeczeństwo, o którym mówiliśmy wyżej. Niewątpliwie rozważania wykraczające poza zakres gospodarczy nie są i nie staną się osią pracy naszego pisma. Sądzę jednak nadal, że dla spełnienia istotnego zadania „Gospodarki Narodowej", dla jej pracy w zagadnieniach czysto gospodarczych, etap szerszego, pełniejszego rozważenia gospodarczych i poza gospodarczych celów zbiorowości stanowi niezbędną, choć formalnie biorąc „dodatkową przesłankę".

Fakt ten może się komuś podobać lub nie podobać albo sam przez się albo ze względu na treść niektórych enuncjacyj drukowanych w „Gospodarce Narodowej"; jedno jest pewne, iż świadczy on o związku między dążeniami społeczeństwa a pracą naszego pisma. Nie trzeba chyba udowadniać, że oderwanie się od gruntu społecznego, stanowi największe niebezpieczeństwo dla wszystkich grup, trudniących się pracą myślową i twórczą, niebezpieczeństwo którego należy unikać za wszelką cenę.

Zygmunt Szempliński.

TOMASZ KORNICZ

KAPITALIZM — SŁOWO CZY TREŚĆ?

Winowajcami tego artykułu są p. Dubois (art. w Dzienniku Popularnym) i kol. a. w. (art. w nin. numerze Gospodarki). Zgadzam się z p. Dubois wtedy, kiedy wyciąga pewne wnioski z cyfr, ilustrujących udział warstwy kapitalistów w dochodzie społecznym Polski. Nie znajduję natomiast pełnej, wystarczającej odpowiedzi ani na temat nierówności w podziale dochodu społecznego, istniejących pomiędzy innemi grupami społecznemi niż kapitaliści (wieś — miasto; pracownicy umysłowi i fizyczni; zatrudnieni i niezatrudnieni), ani też na temat wpływu tej lub innej formy ustrojowej na rozmiary dochodu społecznego. Z kolegą a. w. jesteśmy bliscy wtedy, kiedy wzywa on do stawiania sprawy na gruncie „rzeczywistej rzeczywistości", rozchodzimy się wówczas, kiedy do rzędu papierowych „haseł" zalicza cały szereg posunięć, dokonanych lub projektowanych a bynajmniej, jak sądzę, nieodgrywających ujemnej roli gospodarczej. Przykładowo wymienię tu kwestię urlopów robotniczych, zakazu pracy nieletnich lub kwestię czasu pracy, nieporuszoną zresztą przez pana a. w. Szczególnie ta ostatnia sprawa wydaje mi się jaskrawym i niezmiernie przekonywującym dowodem, że realizacja szeregu postulatów społecznych bynajmniej nie stanowi obciążenia dla życia gospodarczego przy właściwym do tych postulatów podejściu. Generalnie biorąc sądzę, że postawa „naiwnego reakcjonizmu", oparta o mniemanie, że każde bezmała żądanie grup upośledzonych, że każdy bezmała postulat *społeczny* jest *gospodarczo* szkodliwy — jest równie niesłuszna jak „naiwny radykalizm", abstrahujący od skutków danego posunięcia na dalszą metę, byle tylko doraźnie uzyskać korektywę w podziale dochodu społecznego. Nie potrzebuję zaś dodawać, że z obu błędnych sposobów myślenia „naiwny reakcjonizm" jest ponadto sposobem niesympatycznym.

Uczony, który sklasyfikował pewne zjawisko, dał jego definicję, wyliczył odmiany czy odcienie, słowem przepracował gruntownie, w wielotomowej nieraz pracy dane zagadnienie — chętnie kończy tę żmudną i złożoną pracę, tworzącą jakiś nowy termin, jakieś nowe słowo, najczęściej zaczerpnięte z języków martwych, a odnoszące się do danego, precyzyjnie omówionego zjawiska. Mówiąc obrazowo uczony nie zadawalnia się przeprowadzeniem analizy chemicznej dostarczonego mu surowca, lecz nadaje mu jeszcze ponadto nazwę, nakleja etykietę. Oczywiście etykietka ta nie mówi nic jeszcze o charakterze zbadanego zjawiska, tak jak nazwa „aspirina" nic mówi nic o składzie chemicznym sprzedawanego pod tą nazwą specyfiku. Dopóki dany termin używany jest tylko między „uczonymi w piśmie" — nieporozumienia w większej skali nie zagrażają. „Uczeni w piśmie" wiedzą, że nie wystarczy ograniczyć się do etykietki, że trzeba także obejrzeć analizę chemiczną. Wiedzą, że jednocześnie używane terminy należą do wyjątków (jeżeli się wogóle zdarzają), że trzeba za każdym razem, kiedy się danego terminu używa, uprzytomnić sobie, co mianowicie zostało danym słowem zetykietowane. Istnieje cały szereg środków dla unikania nieporozumień. Pedanci bądź podają właśnie definicję, mówiąc: „aspiriną nazywamy... i t. d. i t. d.", bądź też powołują się na źródła, z których zaczerpnęli dany termin, tak jak czynimy w aptece, kiedy prosimy o danie nam aspiriny Bayera, chcąc uniknąć otrzymania identycznej pod względem składu chemicznego, a tylko przez inną firmę produkowanej motopiryny. Natomiast z chwilą rozpowszechnienia się danego terminu, z chwilą, kiedy trafi on pod strzechy, kiedy zwłaszcza zwiąże się z jakimiś dążeniami społeczno-politycznymi, można byłoby sądzić, iż słowo nabiera własnego życia. Okazuje się, że ludzie mogą jakieś słowo kochać lub nienawidzieć, a nawet walczyć z nim, nie zdając sobie sprawy, co właściwie mają na myśli. Znam szereg osób, które twierdzą, że aspirina szkodzi na serce, natomiast motopiryna nie. Znam takie, którym pomaga tylko motopiryna, wzgl. tylko aspiryna. To wydaje się śmieszne, natomiast te same losy słów bardziej uczonych, określających rzeczy czy sprawy, nie dające się wziąć w rękę, zważyć, opakować i włożyć do kieszeni, są przecież jeszcze na porządku dziennym bez zwracania uwagi.

Proponuję każdemu z czytelników przeprowadzenie we własnym zakresie wśród najbliższej rodziny i znajomych prostej i łatwej ankiety. Ankiety na temat terminu „gospodarka kapitalistyczna" wzgl. „kapitalizm". Będę zdumiony jeśli dwie odpowiedzi na pięć wypadną jednakowo. I trudno się dziwić. Nawet w nauce teoretycznej termin „kapitalizm" nie jest używany jednoznacznie. Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat coraz rzadziej spotykamy się z użyciem tego terminu bez dopełniającego przymiotnika „kapitalizm wczesny", „późny", „kapitalizm państwowy". Nie jest to oczywiście główną przyczyną nieporozumienia, ważniejszą znacznie jest to, że na tle ruchów ideowych XIX czy XX wieku słowo kapitalizm przestało być tylko terminem naukowym, lecz stało się częścią składową hasła, a właściwie wielu haseł społecznych. Nie koniec na tem. — To pomieszanie pojęć wokół terminu kapitalizm rodzi dalsze wtórne skutki. Jedni — cały wielomilionowy kraj — nazywają socjalizmem to, co w terminologii innych nazywa się kapitalizmem państwowym. Inni — cały szereg krajów — dopatrują się cech kapitalizmu w systemach gospodarczych, które przez innych uważane są za typowe przykłady połowicznego socjalizmu. Publicystyka ostatnich lat wzbogaciła terminologię pojęciem gospodarki planowej, ostatnie miesiące przyniosły w polskiej prasie termin „gospodarka narodowa" w znaczeniu systemu gospodarowania, który nie jest ani socjalizmem, ani kapitalizmem.

Czas najwyższy wprowadzić troszkę porządku, trochę jasności w tę sprawę. — W jakim sensie i pod jakim kątem? — Jeśli chodzi o samą definicję kapitalizmu, to możliwy jest cały szereg definicyj równie dobrych — pod warunkiem, aby były równie jasne. Definicja jest przecież tylko kwestią umowy. To też pod kątem widzenia prawidłowości teoretycznej należałoby po prostu sporządzić katalog znaczeń, w jakich termin kapitalizm jest używany i zdyskwalifikować jedynie te wypadki, kiedy słowo kapitalizm używane jest na podobieństwo popularnego terminu „sufragan". Nie o to jednak w danym wypadku chodzi. „Gospodarka Narodowa" nie jest pismem poświęconym badaniom teoretycznym, piszący te słowa nie jest ekonomistą teoretykiem. Termin kapitalizm w życiu codziennym używany jest wtedy, kiedy walczy się z czemś, co istnieje w rzeczywistości lub kiedy tego czegoś się broni, z punktu widzenia dnia powszedniego

idzie więc o to, by zdawać sobie sprawę, co i w imię czego się zwalcza, lub też broni.

— „Kapitalizm się przeżył". — „Rola kapitalizmu skończyła się". O cóż tu chodzi? W imię jakich postulatów wygłasza się te tylko pozornie opisowe zdania? — Jedno z dwojga. — Można albo powiedzieć, że ustrój kapitalistyczny prowadzi do niewłaściwego podziału dochodu społecznego, albo też nie pozwala na osiągnięcie maksymalnego, w zasadzie możliwego, dochodu społecznego. Najczęściej walka z kapitalizmem opiera się po prostu o pierwszą przesłankę, rzadziej o drugą.

Z moralnego punktu widzenia możnaby niewątpliwie uznać za lepszy ustrój, zapewniający sprawiedliwość na poziomie nędzy od ustroju o silnych nierównościach społecznych, lecz wyższym poziomie życia nawet najbardziej upośledzonych. Z gospodarczego punktu widzenia lepszy będzie ustrój, zapewniający o tyle większy dochód społeczny, że nawet przy niesprawiedliwym podziale każda jednostka otrzyma więcej niż w ustroju o podziale sprawiedliwym, lecz niskim poziomie dzielonego dochodu. Nie łatwo jest uzgodnić jedno kryterium z drugim. Nie łatwo nie tylko w zasadzie, ale i w praktyce. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ludzie silniej wyczuwają fakt istniejących nierówności, silniej protestują przeciwko temu faktowi, aniżeli przeciwko niskiemu poziomowi dochodu wtedy, kiedy ubóstwo jest powszechne. Podobnie też dynamika dobrobytu, nikły nawet wzrost stopy życia, jest silniej wyczuwany aniżeli skromny nawet już osiągnięty stan posiadania. Jeśli zatem mamy do czynienia z ustosunkowaniem się do zagadnienia kapitalizmu nie w określonej, wąskiej płaszczyźnie czysto gospodarczej problematyki, to musimy sobie zdawać sprawę z tego, że ocena z jaką się spotkamy, opiera się nie o jedno kryterium, lecz o kilka bardzo trudnych do uzgodnienia kryteriów oceny. Uzgodnienie to jest tem trudniejsze, że na ogół operuje się pojęciem sprawiedliwości społecznej, bez zadawania sobie trudu wyjaśnienia o co chodzi. Pod tym względem niezmiernie ciekawego doświadczenia dostarczyła nam Rosja Sowiecka. Wychodząc z doktrynalnego założenia, iż wszelkie potrzeby jednostek winny być w zasadzie w pełnej mierze zaspakajane, rozpoczęła ona od równomiernego *niezaspakajania* potrzeb dzisiejszych w imię lepszego zaspokojenia potrzeb przyszłych; rozpoczęła od regulowanej jednolicie konsumcji w ramach systemu kartkowego i przy minimalnych rozpiętościach płac, a nawet zastosowaniu zasady maxymalnego, nieprzekraczalnego uposażenia dla członka partii, bez względu na zajmowane przezeń stanowisko. W latach ostatnich dokonała się diametralna zmiana. System poprzedni zyskał sobie pogardliwą nazwę „urawniłowka", rozpiętość płac wzrosła, regulowanie konsumcji środkami administracyjnymi należy już prawie do przeszłości. — A przecież zarówno dawny jak obecny system wybudowany został na tym samym założeniu sprawiedliwości społecznej, jako podstawy ustroju społeczno-gospodarczego.

Nie jest zadaniem niniejszego artykułu rozwiązywanie wyżej poruszonych zagadnień, a tylko pewne uporządkowanie pytań. W świetle poprzednich wywodów można, jak sądzę, stwierdzić, że wszelka sensowna dyskusja na temat roli kapitalizmu, jego wad i zalet, musi zaczynać się od wyjaśnienia sobie:

1) Czy zarzuty stawiane są w płaszczyźnie kwestii podziału dochodu czy też w płaszczyźnie wielkości? Wydaje się przy tem, że wszelka dyskusja, ograniczająca się tylko do problemu podziału, byłaby jawnie niekompletna.

2) Czy w danych warunkach czasu i miejsca, a więc w danym kraju na danym etapie jego rozwoju gospodarczego i społecznego, przywiązuje się większą rolę do kwestii wzrostu dochodu, czy do poprawienia jego podziału?

3) Czy i w jakiej mierze bierze się pod uwagę obok potrzeb dzisiejszych zagadnienie zaspokojenia potrzeb przyszłych?

4) Co pojmuje się przez sprawiedliwość społeczną: najdalej idącą niwelację stopy życia wszystkich jednostek, — taki sam stopień zaspokojenia potrzeb różnych u poszczególnych jednostek — różnorodne zaspakajanie potrzeb jednostek w zależności od stopnia korzyści, jakie przynoszą ogółowi — czy wreszcie zupełną dowolność polityki podziału dochodu społecznego, byle tylko udział jednostki w dochodzie społecznym mógł być określany przez czynnik nadrzędny, a nie wynikał z posiadania przez jednostkę środków produkcji?

Powyższe rozważania dotyczą kątów widzenia dla oceny kapitalizmu, jego roli społecznej i gospodarczej. Wciąż jeszcze jednak nie zbliżyliśmy się do sprecyzowania, co należy pod tym słowem rozumieć. Otóż z punktu widzenia potrzeb nauki niewątpliwie potrzebna byłaby jakaś jednolita definicja wyraźnie ustalona. Natomiast z punktu widzenia tych potrzeb, które nas tu w tej chwili interesują, t. zn. pod kątem znalezienia wspólnego języka dla określenia postulatów społeczno - gospodarczych, można w różnych wypadkach posługiwać się różnemi klasyfikacjami. Jeśli więc będziemy mówić o zagadnieniu podziału dochodu społecznego, to musi nas zainteresować przede wszystkim kwestia, czy tylko w ustroju, opartym o zasadę prywatnej własności środków produkcji, powstają nierównomierności w rozdziale dochodu społecznego, czy ewentualnie w ustrojach innych nierównomierności te mogą istnieć, a nawet sięgać podobnej skali i wreszcie — czy we wszystkich wypadkach własność prywatna prowadzi do powstawania nierównomierności w rozdziale dochodu społecznego. Bardzo nawet pobieżna odpowiedź na te pytania wskaże, że operowanie samym tylko pojęciem własności prywatnej jako kryterium dla odróżnienia „zła" od „dobra" jest nie wyczerpujące. Możemy więc wyraźnie stwierdzić, że w warunkach uspołecznienia czy też upaństwowienia środków produkcji możliwe są kolosalne nierównomierności w rodziale dochodu społecznego. Dając pierwszy — lepszy chociaż wulgarny nieco przykład, możemy przytoczyć, że pensje „dyrektorskie" w przedsiębiorstwach upaństwowionych niewiele odbiegają od uposażeń dysponentów przedsiębiorstw prywatnych i że np. rozpiętości pomiędzy płacami poszczególnych kategorii pracowników w Rosji Sowieckiej są niemniejsze, a raczej większe nawet, niż rozpiętości pomiędzy płacami pra-

cobiorców a zarobkami pewnej kategorii pracodawców (właściciele warsztatów rzemieślniczych, drobnych przedsiębiorstw przemysłowych, gospodarstw wielkochłopskich) w państwach kapitalistycznych. Ba, możemy nawet stwierdzić, że w olbrzymiej gałęzi życia gospodarczego, jaką jest rolnictwo, płace pewnej kategorii pracowników najemnych, np. ordynariuszów w gospodarstwach folwarcznych, są wyższe od dochodu przypadającego olbrzymiej części właścicieli drobnych czy karłowatych gospodarstw rolnych. Nie wyciągam zgodnie z założeniem niniejszego artykułu żadnych dalej idących wniosków, chcę tylko stwierdzić, że kwestia nierównomierności w podziale dochodu społecznego nie daje się rozwiązać w płaszczyźnie samego tylko rozważania roli własności prywatnej i że utożsamienie pojęcia kapitalizmu z pojęciem ustroju, opartego o zasadę własności prywatnej, pod tym kątem jest mało płodne, że negowanie kapitalizmu na zasadzie rozumowania, iż własność prywatna prowadzi do nierównomierności w podziale dochodu społecznego, nie wyczerpuje sprawy. Nie oznacza to oczywiście, abym negował, iż w ustroju kapitalistycznym nierównomierności w rozdziale dochodu społecznego są szczególnie łatwe i szczególnie duże. Natomiast obserwacja faktów wskazuje nam po pierwsze, że podobnie jak te nierówności istniały przed kapitalizmem, podobnie też istnieją (może w innej skali, napewno w innej formie) w ustrojach powstających na gruzach (jeśli ktoś woli — na gruncie) kapitalizmu. Po drugie, że skala nierówności i ich rodzaj zmienia się w toku zmian, jakie przechodzi kapitalizm (co do tego ostatniego twierdzenia, to wystarczy uprzytomnić sobie, że w obecnej fazie rozwojowej gospodarki światowej coraz silniejsza staje się tendencja rezygnowania z większego zysku — byle tylko uniknąć znacznego ryzyka). W związku z powyższem możemy i musimy powiedzieć, że kapitalizm nie jest jedynym źródłem nierównomierności w podziale dochodu społecznego, że przyczyn takich jest więcej i że co za tem idzie, rozważanie kwestii kapitalizmu pod kątem wpływu na podział dochodu społecznego winno się łączyć z uprzytomnieniem sobie owych innych równorzędnie działających przyczyn. Konieczne jest również uprzytomnienie sobie, z jaką postacią kapitalizmu, z jakim jego etapem rozwojowym, mamy do czynienia, t. zn. bardziej precyzyjne, dostosowane do warunków czasu i miejsca, zdefiniowanie pojęcia kapitalizmu.

Podobnie przedstawia się sprawa wtedy, kiedy w grę wchodzi rozważanie roli kapitalizmu pod kątem jego wpływu na rozmiary dochodu społecznego. W arsenale obrońców kapitalizmu znajdujemy 3 podstawowe argumenty: 1) że ustrój niekapitalistyczny musi być ustrojem regulowanym przez świadome działanie człowieka, zaś umysł ludzki nie jest w stanie rozwiązywać trudnych problemów gospodarczych szczęśliwiej, niż to czyni automatyzm; 2) że ustrój kapitalistyczny właśnie poprzez stwarzanie nierówności w podziale dochodu społecznego zwiększa możność akumulacji kapitału; 3) że kapitalizm i ze względu na organizację życia gospodarczego i ze względu na element osobistego zainteresowania jednostki gospodarującej zapewnia największe napięcie inicjatywy.

Nie trudno stwierdzić, że w każdym z tych wypadków argumentacja dotyczy nie „wszelkiego" kapitalizmu, a pewnego określonego typu. W pierwszym wypadku chodzi o kapitalizm wolny od interwencyjnej działalności Państwa, która wszak w rzeczywistości doskonale współżyje z ustrojem kapitalistycznym, o kapitalizm nie prowadzący do gospodarki związanej, charakterystycznej właśnie dla dzisiejszego etapu. W drugim wypadku, pomijając element akumulacji przymusowej (która — jak to widzimy w przykładzie Rosji Sowieckiej — może prowadzić do wyjątkowo silnego tempa kapitalizacji rzeczowej), przeciwstawia się kraj o ustroju kapitalistycznym nie krajowi o innym *ustroju*, lecz krajowi, który różni się nie tylko ustrojem, ale ponadto polityką prokonsumcyjną. W trzecim i ostatnim wypadku wreszcie również operuje się niedostatecznie uzasadnioną interpretacją pojęcia kapitalizmu. Można byłoby bowiem doskonale wyobrazić sobie ustrój, nieoparty o zasadę prywatnej własności środków produkcji, ale tak dalece podporządkowujący sprawę sprawiedliwego podziału dochodu społecznego sprawie materialnego zainteresowania jednostki, iż mielibyśmy niemniejsze napięcie inicjatywy niż to, jakie spotykamy wśród dysponentów przedsiębiorstw kapitalistycznych (np. ustrój, w którym nie byłoby płac innych niż tantiemy...).

Nie chcę przedłużać tych wywodów, to też wspomnę tylko, że przy analizie „zarzutów" pod adresem kapitalizmu będziemy musieli podobnie jak wyżej stwierdzić, że przy stawianiu każdego zarzutu operuje się przeważnie mniej lub więcej zmodyfikowanym pojęciem kapitalizmu. Jest to zupełnie zrozumiałe, nie ma bowiem w rzeczywistości ustroju chemicznie „czystego", ustroju, zbudowanego z jednorodnych elementów, według jednolitej formuły konstrukcyjnej. Te ustroje, które nazywamy kapitalizmem, w tym lub owym znaczeniu tego słowa, składają się z różnych nawarstwień, pochodzących z różnych epok — równie dobrze wczesno- jak i późno - kapitalistycznej, a nawet przed-kapitalistycznej. Dawki poszczególnych składników są w poszczególnych organizmach gospodarczych różne, podobnie jak różną jest rola interwencjonizmu, powszechnie już dziś we wszystkich krajach stanowiącego czynnik współistniejący z czynnikami kapitalistycznymi.

Dochodzę do wniosków końcowych. Jeśli chcemy uniknąć zamętu związanego z używaniem nieprecyzowanego pojęcia „kapitalizm", mamy 4 wyjścia:

1. Za każdym razem, ilekroć użyjemy słowa „kapitalizm", podawać znaczenie, w jakim słowo to stosujemy.

2. Ograniczyć pojęcie kapitalizmu do tego, co można byłoby nazwać kapitalizmem „czystym", t. zn. do ustroju nie tylko opartego powszechnie o zasadę własności prywatnej, lecz wolnego od interwencjonizmu państwa, od form przymusowej gospodarki związanej i t. d. i t. d. Nie potrzebuję dodawać, że zarówno pierwsza jak i druga propozycja są pozbawione wartości praktycznej.

3. Nie używać pojęcia „kapitalizm" w sensie nazwy dla ustroju gospodarczego jako całości, a jedynie dla pewnego elementu przeważającego w ustroju większości krajów, a mianowicie nazywać kapitalistycznym takie przedsiębiorstwo, w którym wygospodarowanie zysku jest celem wyłącznym i wystarczającym. Sądzę, że ta metoda jest dosyć płodna dla

rozumowania dedukcyjnego, ma jednakże tę wielką wadę, że sprzeczna jest z naszymi przyzwyczajeniami i w niektórych praktycznych wypadkach rodzić może nierozwiązalne wątpliwości. (Czy kapitalistyczne jest przedsiębiorstwo państwowe, rządzące się wbrew zresztą założeniom przedsiębiorczości państwowej, wyłącznie motywem zysku?).

4. Unikać możliwie pojęcia kapitalizmu, stawiając zagadnienie w płaszczyźnie nie całokształtu problemu ustrojowego, a w płaszczyźnie poszczególnych elementów, a więc roli zysku jako bodźca dla inicjatywy, roli zysku jako formy akumulacji kapitału, własności prywatnej jako środka podziału dochodu społecznego i jako formy organizacyjnej i t. p. i t. p.

Na zakończenie chcę stwierdzić, że oczywiście nie neguję bynajmniej istnienia wspólności pomiędzy temi wszystkiemi formami ustrojowemi, które od czasu zawalenia się gospodarki cechowo - feodalnej po dzień dzisiejszy pojawiały się w gospodarce światowej. Obejmowanie wszystkich tych ustrojów, czy większej części z nich, wspólną nazwą ustroju kapitalistycznego, ma swoje uzasadnienie i daje poważny praktyczny pożytek, grozi jednak równocześnie zaciemnianiem obrazu, zapoznawaniem różnic i *zwężeniem problematyki.* W dzisiejszej chwili, t. zw. w okresie szczególnie szybkich i wielorakich przemian form ustrojowych, pojęcie kapitalizmu nie wystarcza jako busola, przeciwnie, pochopne używanie tego pojęcia bez dostatecznej precyzji grozi bezpodstawnym generalizowaniem wniosków (zarówno w sensie pozytywnym jak ujemnym dla kapitalizmu), no a w publicystyce, w dyskusjach dnia dzisiejszego, niebezpieczeństwo jest jeszcze większe. Polega ono na tem, że słowo może zasłonić treść problemu.

STEFAN MEYER

DZIEŃ PRACY

Długość dnia pracy powinna zatracić swą dogmatyczną niewzruszoność.

Dzień pracy rozpoczynał się o świcie lub przed świtem. Kończył się wśród ciemności nocy. Tylko u dobrych panów, łagodnych — jak sędzia Soplica, dzień pracy kończył się z zachodem słońca.

Tysiąclecia kultur zbudowane były na pracy bez wytchnienia. Na pracy, w której przedwcześnie gięły się postacie i zużywały siły cielesne. Więzień z Chilonu skarży się:

My limbs are beut, but not woth toil. Więc członki wygięte od pracy — to zjawisko za czasów Byrona, normalne.

Wielka ilość rąk roboczych — to błogosławieństwo kraju. O Galii pisze Cassius Duo, że podstawą jej bogactw była polyantrofia, — mnogość ludzi.

Brak ludzi — to brak sił roboczych — to ubóstwo.

W tym układzie sił wyłom robi postęp techniki.

Najszybszym jest tam, gdzie brakło takiej siły roboczej.

Maszyna wspomaga człowieka.

Potem go wypiera.

* * *

Pierwszym odruchem wypartego przez maszynę człowieka — to maszynoburstwo.

Drugim — skrócenie czasu pracy.

Z istoty pracy fabrycznej, — pracy nie w manufakturach; nie pracy chałupniczej — a właśnie fabrycznej, wynika konieczność rytmiki, uzgodnionej z działaniem maszyn. Praca prędko musi się zmieścić w 12 godzinach, o ile jest ciągłą i na 2 zmiany idzie. Tam, gdzie nie ma pracy ciągłej, fabrycznej, dzień pracy trwa od 16 do 10 godzin.

Dzieje XIX wieku związane są ze skróceniem czasu pracy. Nie wpływa ono jednak, jakby historia uprzednich tysiącleci sugerować mogła, na obniżenie narodowego bogactwa. Europa, pracując krócej, dochodzi do nieznanego jej uprzednio dobrobytu. Nadrabia stracony czas większą wydajnością. Sile mięśni przychodzi z pomocą maszyna.

A u schyłku XIX wieku, który kalendarzowo należy już do XX, w okresie „przedwojennym" życie gospodarcze akceptuje 8-io godzinny dzień pracy, coprawda przy akompanjamencie lamentów nad oczekiwanym ubóstwem i jeremiad narażonych na „straty" przemysłowców, ale bez spadku wytwórczości i bez obniżki powszechnej stopy życiowej.

Człowiek, który pierwszy na terenie Cesarstwa Rosyjskiego wprowadził w życie 8-mio godzinny dzień pracy, ś. p. Zygmunt Toeplitz, mówił mi, że miano mu za złe wśród przemysłowców Zagłębia Donieckiego takie posunięcie. że nawet początkowo koszty własne Donieckiej Fabryki Sody wzrosły, ale po upływie półtora roku udział robocizny w koszcie jednostki produktu spadł poniżej poprzedniego poziomu i poniżej cyfr innych, zachodnio europejskich fabryk tegoż koncernu.

* * *

To wszystko są truizmy.

Nikt nie wątpi, że motorem starożytności były mięśnie niewolnika i bydlęcia.

Nikt nie wątpi, że wiek XIX dał nam bogactwo a ujął mozołu.

Pocóż więc to powtarzać?

Bo z czasu pracy robi się tabu, dogmat niewzruszony, nienaruszalną zmienną niezależną, od której uzależniamy stopę życiową i poziom bezrobocia.

Czas pracy bowiem jest albo zmienną niezależną, sztywną normą, wpływającą na inne warunki produkcji, albo też sam jest funkcją jedynie innych, już wtedy samodzielnych argumentów. Pracownik, który żyje z wykonania umowy o dzieło, mając zamówień mało, może swą pracę wykonać bądź w krótszym czasie, bądź rozłożyć ją na kilkanaście godzin dziennie. W miarę napływu zamówień będzie musiał przysiedzieć fałdów. Dla rzemieślnika, który pracuje samotnie, prawda ta nie wymaga uzasadnienia. Dla wolnych zawodów umysłowych również. Możliwy jest wtedy różnoraki stosunek do pracy. Albo się ją odwala prędko, albo też marudząc, rozciąga się ją na cały dzień, rezygnując z innych, niezarobkowych zajęć.

Jeżeli natomiast rozpatrywać pracowników, płatnych nie za dzieło a za czas pracy, widzimy, że stosunki ulegają radykalnej zmianie. Pracę należy „szanować", jak się to mówi w okręgu łódzkim. Należy dbać, aby starczyła na dłużej, aby jej nie zabrakło dla innych. Powstaje marnotrawstwo niesłychane. Dla upozorowania zajęcia przenosi się bez celu przedmioty z jednej sali do drugiej. Znam wypadki następujące: w fabryce mechanicznej w Warszawie robotnik jeden nic nie robił, przenosił ciężary z sali do sali, wkręcał śruby w gniazdka z takim wysiłkiem, że pot mu się lał z czoła, ilekroć który z przełożonych przechodził. Wobec tego wysiłku przydzielono mu pomocnika. Pomocnik wespół z pierwszym pogodnie gawędził i ciężary przenosili z większym artyzmem aktorskim. Byliby to czynili zapewne dotychczas, gdyby nie moja odpowiedź dana pomocnikowi, aby raczej otwarcie uczył się niż kłamał pracę, której nie było.

Drugi wypadek zakomunikował mi jeden ze znajomych inżynierów mówiąc, że robotnicy ziemni kopali w piasku na 8 godz. ½ metra sześciennego, zamiast normalnych 3-ch na człowieka. Szło im o rozciągnięcie roboty na największą ilość dniówek.

Pozwolę sobie przed dalszymi wnioskami zacytować wypadek trzeci. Na G. Śląsku z początkiem kryzysu, gdy załamała się ilość naładowań, pan X zarządził, aby w podległych mu biurach robotę całą wykonywano nie w 7 a w 5 godzin. Przez pozostałe 2 godz. na dobę pozwalał swoim podwładnym grać w szachy, czytać, uczyć się, byle nie wychodzili z biura.

Po kilku miesiącach stosowania z powodzeniem tego systemu zaproponował swojej dyrekcji skrócenie czasu pracy. Dyrekcja — zarządziła zmniejszenie personelu. Każdy miał rację w pewnym zakresie. Ale kto patrzał dalej?

Postęp techniczny musi wywoływać „bezrobocie technologiczne". Przyrost ludności szybszy od przyrostu kapitału musi wywołać bezrobocie, nazwijmy je „ludnościowym". Zwiększenie zapotrzebowania może bądź zwiększyć nakład kapitału na inwestycje produkcyjne, bądź zdjąć częściowo z rynku pracy nadmierną podaż rąk. Przy braku rąk i przy braku kapitału na inwestycje — wystarczy przedłużenie czasu pracy. Przedłużenie to może się stać zagadnieniem społecznym po pierwsze, gdy przekracza wytrzymałość fizyczną normalnego człowieka, po drugie, gdy się rozkłada nierównomiernie na różne grupy ludności.

Ale ten nierównomierny rozkład już dziś istnieje. Nie na skutek przyrostu pracy, lecz na skutek przyrostu rąk. Tak czy owak — rozkład społecznie nierównomierny jest faktem. Nierównomierność odczuwamy jako niesprawiedliwość. Jak jej zaradzić?

I tu odpowiedź jest prosta. Przez równomierny rozkład pracy — a co za tem idzie przez elastyczny i zmienny czas pracy.

Elastyczność czasu pracy w skali gospodarstwa narodowego nie może być jednak przeprowadzoną tak łatwo, jak w warsztacie rękodzielnika lub przy biurku literata. Pewne normy są konieczne, — nie tyle normy ustawowe, co porządkowe, normy, które umożliwiłyby synchronizację z rytmem pracy fabryki, czy innego wysoce zmechanizowanego przedsiębiorstwa.

Stąd narzuca się sama propozycja pracy, trwającej nie ⅓ a ¼ część naszej naturalnej jednostki czasu — doby. Stąd hasło 6-o godzinnego dnia pracy.

I z chwilą, gdy pewne postulaty socjalne, czy też nazwijmy je gospodarczo-socjalne w skali państwowej — postulaty makrogospodarcze podsuwają myśl ograniczenia czasu pracy do 6 godzin — z tą chwilą do głosu dochodzą kontrargumenty mikrogospodarcze — kontrargumenty z dziedziny gospodarstwa indywidualnego, które w skróceniu czasu pracy widzą podrożenie kosztów wytwarzania. Argumenty te oparte są po pierwsze na przekonaniu, że zarobek 8-o godzinny jest równy minimum egzystencji, a więc zapłata za 6 godzin musi po reformie być równą zapłacie za 8 godzin przed reformą, co równa się podrożeniu stawek o 25%. Strata opiera się na przeświadczeniu, że wydajność 6-ciu godzin jest równa 75% wydajności 8-iu godzin, więc robocizna efektywna będzie na jednostkę produktu o 33% wyższą, aniżeli uprzednio. Oba powyższe założenia są nieścisłe. Po pierwsze — robocizna, to nie tylko płaca robocza, lecz i obciążenia socjalne, z których conajmniej jedno jest przeznaczone na wyrównanie nierównomierności pracy. Słusznem więc, aby to obciążenie było odpowiednio zmniejszone dla tych, co rozkładu pracy dokonywują innymi sposobami we własnym zakresie.

Po drugie zapłata za 6 godzin nie musi być równą zapłacie za 8, bo pracobiorca mając o 2 godziny więcej czasu dla siebie może sobie dzięki temu obniżyć koszty życia.

Po trzecie, efekt pracy nie jest proporcjonalny do czasu. Jest on zależny od szeregu innych czynników. Przy dozorze automatycznych reakcji chemicznych, gdzie robotnik kontroluje jedynie temperaturę i ci-

śnienie, efekt ten możemy uznać za proporcjonalny. Tam jednak gdzie w grę wchodzi zmęczenie, — przy sortowaniu, tam wydajność wzrasta w pierwszych, a spada w ostatnich godzinach. Dzięki temu zjawisku spadły koszty robocizny w Donieckiej Fabryce Sody po wprowadzeniu 8, zamiast 10 godzinnego dnia pracy.

Gdyby uznać prymat postulatów makrogospodarczych przed mikrogospodarczymi, należałoby rozpocząć wprowadzanie skróconego dnia pracy od tych przedsiębiorstw, w których po pierwsze, robocizna stanowi mały udział w koszcie własnym — są produkty, gdzie robocizna wraz ze świadczeniami stanowi 10 — 15% kosztów wytwarzania. Od tych przedsiębiorstw należałoby zacząć, — nie zaś od węgla, gdzie robocizna stanowi około 40% kosztów własnych. Rozpoczęcie od przemysłu węglowego, stanowi błąd metodologiczny.

Następnie należy forsować 6-cio godzinny dzień pracy tam, gdzie efekt pracy spada wyraźnie przy późniejszych godzinach. Po trzecie tam, gdzie pracobiorca jest jednocześnie klientem, np. w przedsiębiorstwach komunalnych użyteczności publicznej.

Uwzględniając wybitną, nieprzeciętną zdolność marnotrawienia czasu w naszym społeczeństwie możnaby się spodziewać, przy zastosowaniu premii i akordów, wyraźnego spadku robocizny w koszcie wytwarzania pomimo skrócenia czasu pracy. O ile część nadmiernej podaży robocizny zostanie wessana w rynek pracy, o ile powstanie większa niż dziś łatwość znalezienia pracy, to i redukcja personelu, zawsze ciężka i trudna, nie będzie tragedią. A wówczas i trudności odświeżenia załogi, dziś tak powszechna wobec obawy skazywania swych byłych pracowników na wieloletnią poniewierkę, zmniejszą się. Zacznie wówczas znów grać czynnik emulacji, dziś może nieco przygaszony.

Rozpatrując działanie skróconego dnia pracy na układ stosunków, uwzględnić musimy, że wpłynie on na rozmaite podrożenie różnych towarów i usług w stopniu niejednakowym, że więc wzajemne wartościowanie rozmaitych dóbr ulegnie zmianom. Ulega ono zresztą zmianom stale, bez ingerencji w czas pracy, na skutek wahań cen surowców i zmian procesu technologicznego wytwarzania.

Po wtóre podrożeje robocizna wykwalifikowana, wobec małej ilości rezerw czynnych wykwalifikowanych. Okres ten potrwa zapewne 1½ do 3 lat.

Następnie, dodanie 2-ch wolnych godzin powinno wpłynąć na zwiększoną konsumpcję dóbr niematerialnych. W pierwszym rzędzie zabaw i widowisk, następnie kursów i studiów luźnych, po trzecie, organizacji sportowych. W tych więc dziedzinach znalazłaby dodatkowe zatrudnienie nadmierna ilość tułających się bez zajęcia cało i pół inteligentów, których usługi w dzisiejszym stanie rzeczy są gospodarczo zbędne, nawet jeśli są społecznie cenne.

Że skrócenie czasu pracy może być nawet wskazane dla pracodawcy, tego dowód mieliśmy przed wojną nawet. Na niektórych dworcach linii średnicowej Berlina praca trwała 4 czy 6 godzin na dobę, ze względu na silne napięcie nerwowe pracowników. Pracodawcy i Kolejom Prusko Heskim opłacało się skrócenie czasu pracy.

Może być, że na krótką metę skrócenie czasu pracy licznym przedsiębiorcom typu wczesnokapitalistycznego się nie opłaci. Ale dziś koncern finansowy, zwany Państwem Polskim może uznać za korzystniejsze skrócenie w swoich przedsiębiorstwach czasu pracy, niż wypłacać premie niepracującym i tolerować brak siły nabywczej ze strony dużej ilości własnych potencjalnych klientów.

Zagadnienie dnia pracy, to nie tylko zagadnienie mikrogospodarcze kalkulacji kosztów własnych. To makrogospodarczo biorąc — zagadnienie rozdziału dochodu społecznego.

A chcąc, aby wstrząs był mały, należy je wprowadzać bardzo łagodnie, wskazanymi powyżej etapami. Nie wyprzedzając w tym względzie innych, ponad istotne potrzeby całokształtu naszego gospodarstwa.

Skracając czas pracy, trzeba się jednak liczyć z możliwością przedłużenia go. Czas pracy powinien zatracić swą dzisiejszą dogmatyczną sztywność, a stać się ilorazem zamiarów przez siły.

A nadwartości, które powstaną w wolnym czasie będą premią zdobytą przez społeczeństwo wzamian za niedogodności i trudności, jakie wywoła nowy dzień pracy.

UWAGI

KOTLETY NIE W ŚMIETNIKU

Inflacja, deflacja, dewaluacja, aktywizacja, dźwiganie wzwyż, dochód społeczny, motoryzacja i t. d. i t. d., słowa — skróty myślowe bezustanku powtarzane przez prasę wszystkich kierunków i odcieni, to ze zrozumieniem istotnej treści tych pojęć, to bez zrozumienia. Jakżeż łatwo wpadać tutaj w dyskusję nad pojęciami, nad ich precyzowaniem i wyjaśnieniem, zatracając w międzyczasie istotny cel działalności gospodarczej.

Dochód społeczny, czy potencjał wojenno gospodarczy, to przecież nic innego jak dobra konkretne, przedmioty materialne, wytwarzane pracą ludzkich rąk i mózgów w warsztatach pracy, a więc produkcja, produkcja, produkcja! Poto żeby produkować, trzeba umieć to robić i mieć z czego. Słowem kwestia surowców.

Zwyżkowa koniunktura wybitnie zaostrzyła kwestię surowców na odcinku handlu zagranicznego, rosną bowiem trudności zdobywania dewiz na zakup surowców. Jeśli te trudności istnieją już dzisiaj w warunkach normalnie zwyżkowej koniunktury, to co stałoby się wówczas, gdyby nastąpiło istotne dźwiganie Polski wzwyż w tempie przyśpieszonym, wyprzedzającym rozwój koniunktury światowej, jak tego domaga się opinia publiczna i jak tego wymaga nasza sytuacja, wynikająca z opóźnienia w rozwoju gospodarczym?

Inżynier Friedberg wziął ołówek i obliczył jakie konsekwencje pociągnęłaby za sobą istotna a nie papierowa motoryzacja. I okazało się, że przy obecnym wydobyciu ropy naftowej stać nas na powiększenie liczby samochodów o 48 tys. sztuk, co oczywiście wcale jeszcze nie stanowiłoby prawdziwego zmotoryzowania Polski, i że benzyny lotniczej produkujemy w wysokości $^1/_7$ ewentualnego spożycia wojennego .

Oto jest właściwy sposób stawiania problemu rozwoju gospodarczego Polski, oto istota zadań i trudności, które przed nami stoją, a które ciągle zaciemniamy dyskutowaniem nad terminologicznymi pojęciami ekonomicznymi.

W podobny sposób należy przepracować kwestię żelaza. Nasz wiek jest wiekiem żelaza i stali. Podniesienie produkcyjności pracy, a więc zwiększenie dóbr wytwarzanych na głowę ludności, a więc podniesienie dochodu społecznego i potencjału wojenno-gospodarczego zależy w ogromnym stopniu od uzbrojenia pracy w narzędzia i środki produkcji, wytwarzane w lwiej części z żelaza.

A zatem wzrost wytwórczości żelaza, to kamień węgielny rozwoju gospodarczego Polski. Dyskusja na powyższy temat ogranicza się niemal całkowicie do kwestii cen. Przemysł powiada: dajcie nam lepsze, rentowniejsze ceny, to będziemy mogli inwestować. Słusznie jednak, czy niesłusznie, kwestia zaufania tak w Polsce stoi, że na gołosłowne twierdzenia i obietnice społeczeństwo reaguje nieufnie. Najczęściej jest wysuwany kontr-argument, że był okres cen rentownych a inwestycyj nie było. Prawda, sytuacja się zmieniła, bo wówczas w hutnictwie przeważał kapitał obcy, a dziś przeważa państwowy i wobec tego kwestię zaufania należy już stawiać zupełnie inaczej. Do tego stopnia inaczej, że dzisiaj można by nawet osiągnąć pewność, ale kwestię należy solidnie przepracować.

Wzrost wytwórczości żelaza i stali dzisiaj oznacza wzrost importu rud i szmelcu, a więc zaostrzenie trudności dewizowych. Może się okazać, że trudności dewizowe uniemożliwią wzrost produkcji, odpowiadający naszym potrzebom, a w tych warunkach wzrost cen wewnętrznych i zysków przemysłu sam przez się nie wystarczyłby dla rozbudowy przemysłu hutniczego, bo nie byłoby sensu budować hut, gdy nie ma surowca na przetwarzanie. W tej sytuacji zwyżka cen żelaza byłaby przesunięciem dochodu nie między produkcję a konsumcję, lecz między producentem i konsumentem, co nie jest ani gospodarczo ani społecznie jednem i tem samem. Chodzi o pewność, że ofiary konsumenta w postaci zwyżki cen istotnie przyczynią się do rozbudowy hutnictwa i zwiększenia produkcji żelaza i stali. Jednym z elementów dla zaistnienia tej pewności jest pewność zdobywania dewiz na surowce lub też surowców bez dewiz.

I tu powstaje kwestia naszych bogactw naturalnych. Wiemy, że nie mamy własnych wysoko - procentowych rud żelaznych, wiemy, że nasze złoża ropy naftowej wyczerpują się. Są jednak tacy, co twierdzą, że kwestia naszych bogactw mineralnych nie jest dostatecznie zbadana. Prasa codzienna ostatnio informuje o odkryciu złóż pirytów, już eksploatowanych, syderytów i hematatytów w Kieleckiem, dawniej pisała o manganie w Karpatach Wschodnich, p. vice-premier powiedział w ub. r., że zdaje się, iż stoimy w obliczu odkrycia nowego zagłębia naftowego.

Otóż są to kwestie niesłychanie ważne. Informacje prasy codziennej są przeważnie pochopne, bo prasa goni za sensacją i nowością. Sprawa wymaga miarodajnego oświetlenia przez fachowców, rzucanie bowiem w społeczeństwo takich informacyj niesprawdzonych i przesadnych, to w pewnym sensie lekceważenie „najświętszych uczuć” ludzkich. Zdajemy bowiem sobie sprawę, że bez posiadania niezbędnych surowców dźwiganie Polski wzwyż pozostanie tylko papierowym hasłem. Wykrycie poważniejszych złóż mineralnych, zwłaszcza bogatszych rud żelaznych i ropy naftowej byłoby wydarzeniem o kolosalnej doniosłości, radykalnie wpływającym na cały układ naszego życia gospodarczego i polityki gospodarczej, zarówno wewnętrznej jak i na odcinku zagranicznym. Zagadnienie przyśpieszenia tempa naszego rozwoju gospodarczego zostałoby znacznie ułatwione, mogło by być realizowane zaraz, po prostu od jutra rana, nawet nie od poniedziałku.

Niezależnie jednak od tego, czy wspomniane wiadomości prasowe są prawdziwe, trzeba mocno postawić kwestię poszukiwań geologicznych. Jesteśmy wyłącznie zdani na to, co nam da nasza praca i nasza zie-

mia. Byłoby wielką przesadą twierdzić, żeśmy nasze bogactwa naturalne wyeksploatowali w dostatecznym stopniu i że stopień naszego ubóstwa ściśle odpowiada ubóstwu naszej ziemi. Napewno nie potrzebujemy jeszcze szukać kotletów w śmietnikach. Środki na wzmożenie poszukiwań geologicznych muszą się znaleźć, jeśli mamy traktować poważnie hasło przyśpieszenia naszego rozwoju gospodarczego. Poszukiwania geologiczne to jedna z najważniejszych i najpilniejszych inwestycyj gospodarczych.

z. sz.

CENY ŻELAZA

Hutnictwo polskie domaga się podwyżki cen. Nie jest ono odosobnione w tej akcji, gdyż na prawo i lewo żądania poszczególnych przemysłów powtarzają stale ten sam refren: dajcie nam pracować rentownie, przekreślcie zarządzenia z grudnia 1935 r., dekretujące obniżki cen!

Na poparcie swych żądań hutnicy [1]) wysuwają dwa zasadnicze argumenty. Pierwszy, poważniejszy, głosi, iż trzeba pozwolić naszym hutom partycypować w powszechnej koniunkturze zwyżkowej i dać im rentowne ceny, rentowność zaś jest warunkiem inwestycyj, a inwestycje są niezbędne na wypadek wojny. Drugi argument, mniej poważny, usiłuje wygrać formalną niższość cen krajowych polskich od cen czechosłowackich, niemieckich, angielskich i t. p. (o belgijskich zapomniano).

Obydwa dowody są w pewnym stopniu istotne i ważkie. Zapewne, inwestycyj dokonywa się normalnie z zysków, te zaś płyną z dochodów, będących iloczynem ceny przez obrót. Cena jest rzeczywiście niska (w porównaniu z ceną austriacką lub niemiecką), ale i obrót jest również niewysoki (tutaj dysproporcja będzie jeszcze jaskrawsza). Skutek więc, o który zabiega hutnictwo polskie, można osiągnąć dwiema drogami: albo podnieść cenę przy dzisiejszym utargu, albo zwiększyć utarg przy dzisiejszej cenie. Fakt, że w r. 1936 polska produkcja hutnicza wzrosła o jakieś 20% w porównaniu z r. 1935, może być zrozumiany jako rezultat wzrostu popytu dzięki zachowaniu poziomu cen. Niewątpliwie, nawet przy podniesieniu cen na żelazo, stal i t. p., popyt na wyroby hutnicze wzrósłby i tak, powstaje tylko wątpliwość, czy aż w takim stopniu, jak to miało miejsce w rzeczywistości.

Ceny hutnicze polskie są bez kwestii cenami najniższemi w Europie, przy czem za 1 t. żelaza prętowego uzyskiwano w grudniu 1936 r. 97% ceny angielskiej, 92% czechosłowackiej, 85% przeciętnej ceny niemieckiej. Z „Małego Rocznika Statystycznego" jednak wiemy, iż spożycie polskie wynosi ok. 10% konsumcji angielskiej lub niemieckiej, a ok. 30% konsumcji czechosłowackiej. Wydaje się przeto, iż od strony spożycia ceny polskie bynajmniej do niskich nie należą, a przeciwnie stanowią one dość poważną zaporę dla rozwoju przemysłu przetwórczego i rzemiosł grupy metalowej. O interesach tych dwóch ważnych odłamów produkcji krajowej mówi się zbyt mało, jak gdyby problem obrony kraju, rentowności przemysłu i t. p. sprowadzał się tylko do hutnictwa. Zbieżność interesów hutnictwa z interesami przemysłu przetwórczego jest tak jaskrawa, że wszelka jednostronność wydaje się, grzecznie mówiąc, nieporozumieniem.

Zagadnienie cen na wytwory polskiego hutnictwa jest niezwykle skomplikowane. Do skomplikowania go przyczynia się m. in. fakt, że hutnictwo w połowie należy do Państwa, wyszło przeto z orbity gospodarki prywatno-kapitalistycznej i znalazło się pod rządami nieco odmiennych celów. Rentowność rentownością, ale ponad nią stoją zadania specjalne, z których najważniejszym jest rozbudowa tego przymusu — ze względów gospodarczo-politycznych — do granic, których osiągnięcie w normalnych warunkach inwestycyj prywatno-kapitalistycznych jest chyba nie do pomyślenia. Podwyżka cen polskiego żelaza wpłynęłaby, zapewne, na wzrost procesów inwestycyjnych, istnieje atoli uzasadniona obawa, że uzyskane za cenę ofiar przemysłu przetwórczego, rzemiosła i konsumentów inwestycje byłyby niewspółmierne do potrzeb gospodarstwa narodowego na odcinku hutniczym.

Efekt, o który chodzi naszemu hutnictwu, może ono osiągnąć w drodze intensywnej rozbudowy rynku wewnętrznego nawet przy istniejących instalacjach, w pełni przecież nie wykorzystanych. Tytułem przykładu wskażemy, że do dziś dnia nie powstała w Polsce produkcja kos, które nadal zamierzamy importować z Austrii, posiadającej ceny żelaza o 46% wyższe od cen polskich. Nie od rzeczy też byłoby zwrócić uwagę na sztywny system sprzedaży, który kładzie większy nacisk na zabezpieczenie kredytów, udzielonych kupcom, aniżeli na zwiększenie zbytu. Dopóki więc zsyndykalizowany i na pół upaństwowiony przemysł hutniczy nie rozwiąże tych — pozornie ubocznych — zagadnień, dopóty trudno mówić, że zrobił on wszystko, aby opinię publiczną i — odbiorców przygotować do zwyżki cen na potrzeby (jak sam twierdzi) „rozwoju, upartego dążenia wzwyż i mocarności".

z. i.

[1]) J. Ignaszewski „W obliczu zasadniczych przeobrażeń" (Katowice, 1936).

GDAŃSK I POLSKA

Współpraca polsko-gdańska nie układa się w sposób, odpowiadający żywotnym interesom Rzeczypospolitej. Wolne miasto Gdańsk, nigdy nie sympatyzujące z nami i prowadzące stale politykę pro-niemiecką, od lat kilku co raz bardziej dąży do zerwania więzów, które w jego *jednostronnym* przekonaniu nakłada istnienie wspólnego obszaru celnego. Ostatnio te dążenia przybrały mocno na sile, a chociaż są markowane względami taktyczno-dyplomatycznymi, pogłębiają się i udoskonalają z dnia na dzień.

Interes Polski wymaga, aby 33-y milionowe państwo posiadało jak najmocniejsze oparcie o brzeg i porty morskie. „Okno na świat" — to Gdańsk i Gdynia, razem wzięte i współpracujące ze sobą dla dobra swego *wspólnego* zaplecza. O takiej a nie innej roli Gdańska decyduje, krótko mówiąc, *geografia*. Gdańsk w orbicie Prus Wschodnich będz e niczym; Królewiec wystarczy Prusom w zupełności.

Gdańskowi przeciwstawia się niekiedy Gdynię. Przeciwstawianie takie nie ma najmniejszego sensu, jako że oba te porty (i w technicznym i w ekonomicznym sensie tego słowa) ledwie zaspokajają potrzeby ich polskiego zaplecza. Nie przeciwstawność, lecz *komplementarność.* A że Gdynia się rozwija szybciej od Gdańska, to już zasługa primo — każdej młodości, a secundo — rozwoju morskich stosunków Polski ze światem. Powstrzymywanie rozbudowy portu i miasta Gdyni byłoby nonsensem, zaprzeczającym automatycznemu, żywiołowemu rozrostowi operacyj handlowych, przede wszystkim operacyj handlu morskiego.

A jednak rozbudowa Gdyni nie postępuje w należytym tempie. Dzieje się tak ze względu na to, że Gdańsk jest dla nas równie niezbędny, jak Gdynia. Polskie interesy gospodarcze domagają się korzystania z tego całego systemu handlu morskiego, jakim Gdańsk od wieków dysponuje. Kupiec gdański, bez względu na posiadanie czy nieposiadanie znaczka partyjnego w klapie marynarki, jest kupcem bardziej od naszego doświadczonym, bardziej przedsiębiorczym i na ogół sprawniejszym, aczkolwiek nieco zbyt jednostronny (nastawienie na import). Współpraca z takim kupiectwem i z takim, jak Gdańsk, ośrodkiem posiada doniosłe znaczenie wychowawcze, nie mówiąc o ekonomicznym.

Nie ulega jednak wątpliwości, że polska polityka w stosunku do Gdańska jest polityką kosztowną. Ofiary, jakich żąda ona od własnego życia gospodarczego, są znaczne, skoro się weźmie pod uwagę niedostateczne tempo rozbudowy Gdyni i koszty kredytu, przeładunku, maklerki i t. p., płacone obcemu — w sensie bilansu płatniczego — organizmowi gospodarczemu. Ofiary te jednak są konieczne, jeśli się chce prowadzić *szeroką* politykę morską, w której Gdańsk partycypuje na równi z Gdynią.

Ostatnie *nastroje* (bo o *posunięciach* mówić byłoby przedwcześnie) wskazują, że Gdańsk nie bierze powyższego pod uwagę. Dążąc do zjednoczenia się z Rzeszą bez względu na konsekwencje natury ekonomicznej, Gdańsk daje do zrozumienia, że się z polskiemi ofiarami i — co ważniejsza — z polskiemi koniecznościami gospodarczemi nie liczy. Z jego punktu widzenia, zwłaszcza z nacjonalistycznego punktu widzenia, może to być zrozumiałe, w równym jednak (o ile nie mocniejszym) stopniu muszą być respektowane interesy polskie, bo współpraca polsko-gdańska *jednostronnie* wypowiedziana być nie może. Gdańsk, prowadząc politykę eksterminacyjną, rezygnuje *dobrowolnie* z korzyści, jaką mu ta współpraca daje, zwalnia nas tem samem z zobowiązań, które tak dotkliwie Gdyni dają się we znaki. Zresztą i tutaj działać musi automatyzm: każde utrudnienie w handlu morskim samo, bez niczyjego nacisku, przyczynia się do ucieczki kapitału z Gdańska do Gdyni, której to ucieczce trzebaby przeciwstawić argumenty trochę mocniejsze od słodkiej perswazji.

j. gozd.

CZY POCZĄTEK POWAŻNEJ DYSKUSJI?

Do znudzenia chyba powtarzano od wielu lat w naszym piśmie, że u podstaw obecnego chaosu ideowego w Polsce leży chaos pojęciowy. Ten zaś z kolei bierze swe źródło w uporczywym trzymaniu się przez tych, którzy kierują poszczególnymi odłamami opinii publicznej, pojęć przedwojennych, nienadających się w żadnej mierze do zastosowania w obecnej polskiej rzeczywistości, a — co gorsza — i przed wojną przyjętych bezkrytycznie z krajów obcych, gdzie zrodziły się one niewątpliwie jako wyraz potrzeby ideowej szerokich mas, gdzie miały swój sens, możliwość swej realizacji — i gdzie, notabene, od czasu ich powstania wiele z nich zrealizowało się doskonale w praktyce.

Do znudzenia już powtarzano, że nie można urodzić żadnego sensownego programu konstruktywnego — ba, nawet jakiejkolwiek opozycji konstruktywnej — dopóki poszczególne odłamy opinii publicznej (bez względu na to, czy będą to „partie" czy coś innego...) nie zrozumieją, że budować można tylko z tego, *co jest*, a nie z tego, co się komuś zdaje czy zdawało, że istnieje. Nie może program być budowany *na hasłach*, a tem bardziej nie można haseł podnosić do poziomu norm, tworzących realne warunki bytu w danym kraju. Czem był w marcowej konstytucji 1921 r. przepis o powszechności nauczania, jeśli właśnie nie takim hasłem wstawionym „dla krasnawo słowca" — do ustawy zasadniczej wielkiego państwa? Czem jest wyświechtane pojęcie „reprezentacyjności" w państwie o głodowym — a jeszcze przecież zbyt ciężkim do zniesienia — budżecie? Czem jest hasło „Polski narodowej" czy „Polski socjalistycznej", skoro ani w jednym ani w drugim pojęciu nie ma właściwie żadnej realnej treści? Jak tu urodzić się ma poważna dyskusja pomiędzy — załóżmy nawet — sprzecznymi poglądami czy interesami poszczególnych odłamów opinii? Zanim taka dyskusja powstanie, zanim wybuchnie walka ideowa, zanim wykształcą się programy i któryś z programów zwycięży, trzeba przecież realnie wiedzieć, *o co naprawdę w Polsce chodzi — i o co może w niej chodzić?...* Dotychczas programy stronnictw politycznych mają w Polsce z polską rzeczywistością dnia dzisiejszego niezmiernie mało wspólnego...

I oto — przyznać musimy z niekłamanym zadowoleniem, jeśli nawet nie z pewnego rodzaju wzruszeniem, — w „Dzienniku Popularnym", a więc piśmie codziennym, reprezentującym ideologię jednego z poważnych odłamów opinii w naszym kraju, ukazuje się artykuł p. Stanisława Dubois p. t. „300 milionów i 200 rodzin", po raz pierwszy, jak nam się wydaje, stawiający *hasło* partyjne polskiego socjalizmu w świetle polskiej „rzeczywistej rzeczywistości". Jest to niespodzianka noworoczna, niespodzianka niesłychanie, jak powiadamy, przyjemna i posiadająca — chcemy wierzyć — pewien głęboki sens na przyszłość. To, że artykuł p. Dubois ukazuje się w „Dzienniku Popularnym" na niezbyt poczesnym miejscu, to — że jak gdyby redakcja nie przywiązuje do wywodów autora specjalnie *zasadniczej* wagi, że — zresztą — sam autor ogranicza się w wywodach tych do stwierdzenia tego, co niejednokrotnie czytelnik mógł czytać na łamach „Gospodarki Narodowej", a mianowicie — w lapidarnym ujęciu — że w

Polsce nie ma właściwie kapitału i że mechaniczny podział dobytku klas „posiadających" pomiędzy masy nieposiadające masom tym nic konkretnego nie przyniesie, o to wszystko mniejsza. Dla nas ważne jest przede wszystkim to, że czołowy przedstawiciel polskiego socjalizmu *postawił po raz pierwszy* w Polsce zagadnienie programowe *nie w postaci hasła*, ale w ścisłym związku z realnym obrazem rzeczywiście istniejących w Polsce stosunków. Ważne jest dla nas, że p. Dubois po przeprowadzeniu dialektycznie logicznego rozumowania przychodzi pod koniec do takich wniosków:

„Samo mechaniczne podzielenie skoncentrowanej własności kapitalistycznej pomiędzy drobnymi właścicielami nie rozwiązuje całkowicie zagadnienia sprawiedliwego współbytowania ludzi... Ani ich (t. j. „rekinów kapitalistycznych" i obszarników...) stopa życiowa, ani nawet skapitalizowane przez nich sumy nie mogą obdzielić wszystkich głodnych ani zgalwanizować zamierającego życia. Zło, jak powiedzieliśmy, tkwi w samym systemie gospodarki kapitalistycznej niezdolnej do uruchomienia nieprzebranych zasobów energii ludzkiej, tkwiącej w masach, ani nawet do eksploatowania bogactw naturalnych".

Zastanówmy się nad treścią tego wywodu. P. Dubois stwierdza tę, jak powiedzieliśmy, niewątpliwą skądinąd prawdę, iż w Polsce nie można zastosować mechanicznie tego programu socjalistycznego, jaki może być z pozytywnym wynikiem zastosowany w krajach o dużym dochodzie społecznym. Wychodząc z liczb dochodu wygospodarowanego przez polską „burżuazję" w roku wysokiej koniunktury, jakim był rok 1929, p. Dubois ze słusznością stawia pytanie: „Czy potrzeby te (mowa o niezaspokojonych i palących potrzebach Polski) zdoła zaspokoić staruszek — kapitalizm Polski? Wszak kapitalizm ten... przy zwyżkującej koniunkturze zdobyć się jeno mógł na 300 milionów...". Dla p. Dubois — a bardziej jeszcze dla jego czytelników, wychowanych właśnie w owej fatalnej frazeologii o burżujach, „żrących kawior i pijących szampana", — liczba ta jest „oburzająca i zdumiewająca". Ludzie, którzy przez całe życie walczą i walczyli o sprawiedliwy podział dochodu społecznego, nie zdawali sobie sprawy, *co*, mianowicie, jest do dzielenia. A, zdawszy sobie sprawę, powiadają mniejwięcej tak:

— Prawda, że nie możemy tak jak nasi towarzysze we Francji czy w Anglii liczyć, że przez wyzucie „klas pracujących" purement et simplement z majątków na korzyść klas proletariackich poprawi się sytuację materialną tych klas, bo majątków „burżujskich" jest mało—i nie rozwiąże zatem to zupełnie kwestii. Ale wyzuć ich mimo wszystko trzeba, bo okazuje się właśnie, że dają oni w dochodzie społecznym tak mało... Więc pocóż, u djabła, ich trzymać, skoro z nich nawet takiej pociechy nie ma?...

Otóż tutaj właśnie autor niniejszego chce postawić panu Dubois zapytanie. Zapytanie jest traktowane poważnie — i może być zaczątkiem istotnie poważnej dyskusji. P. Dubois powiada, że samo zastosowanie w praktyce hasła sprawiedliwego podziału dochodu społecznego w Polsce zagadnienia nędzy mas nie rozwiąże. Prawda — i dlatego już stoimy z nim na tej płaszczyźnie dyskusji, gdzie ludzie „od początku" się rozumieją. Ale teraz przychodzi twierdzenie następne: ponieważ nawet w okresie wysokiej koniunktury polski kapitalizm nie potrafił wygospodarować dla siebie wysokiej sumy dochodu, powinien być on *z tego właśnie powodu* zlikwidowany. Otóż tutaj chcę p. Dubois postawić jedno albo raczej kilka zapytań.

A więc — primo: czy p. Dubois jest absolutnie pewien — i czy ktokolwiek w Polsce może być bezwzględnie pewien, iż inna forma ustroju gospodarczego niż kapitalizm przyniesie w naszych polskich warunkach *więcej* niż przyniósł właśnie kapitalizm? Proszę mnie dobrze zrozumieć: mnie na kapitalizmie w Polsce nie zależy bynajmniej, a różnimy się — o ile rozumiemy w naszych uczuciach z p. Dubois tylko o tyle, że on żywi do polskiego kapitalizmu emocjonalnie negatywne nastawienie, ja zaś i wielu mi podobnych sine ira et studio staram się dociec, co kapitalizm ten w Polsce jeszcze może dać? Przyznajemy otwarcie, że jeszcze nie odpowiedzieliśmy sobie na to pytanie. Bo też odpowiedź taka bynajmniej łatwa nie jest. Jeśli powiadamy sobie w założeniu, że dochód społeczny w Polsce jest śmiesznie mały i że trzeba go powiększyć, to, przechodząc do rozstrzygania formy ustroju gospodarczego, odrazu nasuwają się nam dziesiątki wątpliwości pro i contra utrzymania lub zniesienia formy kapitalizmu prywatnego. Zagadnienie inicjatywy? Interesu osobistego? Zabezpieczenia bytu rodzinie? Rozmiarów akumulacji kapitału w stosunku do zysków indywidualnych? Celowości inwestycyj prywatnych i publicznych? Rentowności tych czy innych dziedzin produkcji? Pytań jest bardzo wiele — a nie odpowiedziano *poważnie* na żadne z nich dotychczas wcale.

Secundo — nie ma potrzeby dodawać, że godzimy się z p. Dubois bez zastrzeżeń w zagadnieniu reformy rolnej, *chociaż* — jak p. Dubois słusznie mówi — przeprowadzenie jej samo przez się nie rozwiąże jeszcze zagadnienia nędzy wsi. Ale dlaczego tutaj właśnie jesteśmy zdecydowanie za reformą? Dlatego, że *już wiemy* dobrze, że wielka własność w podniesieniu dochodu społecznego Polski roli nie odegra. Jest niepotrzebna — i dlatego może zniknąć. Wiemy np., że przemysły surowcowe z uwagi na swoją rolę w gospodarstwie narodowym Polski nadają się, chyba, do znacjonalizowania. Powiadamy jeszcze „chyba", bo ostatecznie przekonani nie jesteśmy, jakkolwiek przemawia za tym wiele. Ale przemysł przetwórczy? A rzemiosło? A handel? Czy p. Dubois jest *przekonany*, że w rękach prywatnych właścicieli dadzą Polsce mniej niż po uspołecznieniu? Czy można już obecnie z wszelką pewnością na to odpowiedzieć?

W tem właśnie leży sedno rzeczy. Należało by sobie życzyć aby ci, którzy prowadzą w Polsce *politykę czynną*, jęli się takiej właśnie dyskusji, takiej właśnie roboty, która by mogła pomóc do wyświetlenia tych wątpliwości. Mamy nadzieję, że dyskusja taka się rozwinie. Mamy ją dlatego, że w swoich wywodach p. Dubois stanął na gruncie rzeczywistości. Przy nowym roku można sobie pozwolić również na dalej posunięty optymizm i wyrazić jeszcze nadzieję że oprócz samego tylko rzucania *haseł* czynna polityka będzie musiała zacząć rozwiązywać

problemy. Po rozwiązaniu ich, po upewnieniu się co do konieczności pójścia w tym czy innym kierunku polityka ta potrafi je napewno ozdobić i upowszechnić *nowymi hasłami* — o wiele bardziej realnymi i dlatego o wiele bardziej trafiającymi do mózgów i uczuć mas. A pozwolę sobie zaznaczyć, że byłby to o wiele bardziej ekonomiczny i wydajny system pracy politycznej niż dotychczasowy.

a. w.

CUKIER

Zasadniczym celem zeszłorocznej regulacji gospodarki cukrowo - buraczanej był postulat wzmożenia konsumcji cukru, a co za tem idzie i rozszerzenia areału plantacyj buraka cukrowego. Obok tych czołowych zagadnień były do rozwiązania inne, nieraz ze sobą sprzeczne. Sprzeczności te szczególnie się ujawniały przy wyborze środków zrealizowania zamierzonych celów. Ostatecznie obrany system podziału kontyngentów dawał możność dokonania strukturalnej przebudowy cukrownictwa w wypadku jego... konsekwentnej realizacji. Przebudowa ta miała polegać na tem, że, z pośród stosunkowo wielkiej ilości cukrowni o niewielkich kontyngentach, szeregowi cukrowni powiększono kontyngenty, reszcie zaś stworzono możliwości fuzjonowania się. Jedno i drugie miało umożliwić jak największą obniżkę kosztów produkcji i w konsekwencji ceny. Cena cukru pozostaje w stosunku prostym do kosztów produkcji cukrowni najdrożej pracujących. Stąd też wielkość obniżki ceny cukru jest zależna między innymi od wysokości kontyngentów cukrowni najmniejszych oraz ilości takich cukrowni. Gdyby zamiast obranej metody zastosowano inną, polegającą na podniesieniu kontyngentów wszystkich cukrowni o małych kontyngentach, prawdopodobnie nie osiągniętoby tak znacznej zniżki ceny, aczkolwiek można byłoby załatwić szereg innych potrzeb, jak specjalne interesy rolnicze, redukcja eksportu itp.

Zastanawiając się w lutym ub. r. na ten temat, „Gospodarka Narodowa" pisała [1]: „Powstaje również kwestia, czy szereg drobniejszych cukrowni nie utrzyma się przy życiu przez otrzymanie jakichś drobnych dodatków kontyngentowych. Gdyby likwidacja drogo produkujących cukrowni nie nastąpiła, gdyby okazało się, że normy ustawowe działają niedostatecznie, powstałby problem nowej repartycji kontyngentów, czy to w sensie pogłębienia, większego zdecydowania w kierunku koncentracji, czy też — jeślibyśmy się nie mieli na to rozwiązanie zdobyć — w kierunku zapewnienia normalnych warunków egzystencji drobniejszym warsztatom i ew. wprowadzenia korektyw do rozdzielnika kontyngentowego, opartego na jednorocznym kluczu kartelowym".

Chociaż z treści artykułu można było się domyśleć, że dla autora sympatyczniejszy był podówczas system fuzjonowania się cukrowni, nie wypowiedziano się następnie zdecydowanie za żadną z metod, natomiast bardzo silnie kładziono nacisk na potrzebę „konsekwentnego przeprowadzenia raz przyjętego planu".

Nie wiemy czy na skutek niespodziewanie dużego wzrostu konsumcji cukru, czy też zbyt małej zniżki ceny cukru [2]), czy wreszcie niewiary sfer zainteresowanych w konsekwencję realizatorów planu — (szereg „skazanych na fuzję" cukrowni dostał wbrew zasadniczej tezie dodatkowe kontyngenty produkcyjne) — dość, że procesy fuzyjne zawiodły.

Z tą chwilą stało się aktualne to, co „Gospodarka Narodowa" pisała w lutym b.r. Gdyby spożycie cukru w Polsce zachowało dawną (z paru poprzednich lat) dynamikę i *gdyby na widownię nie wystąpiły w silniejszym stopniu niż to miało miejsce poprzednio momenty natury ponad gospodarczej* — niewątpliwie należałoby dokonać rewizji podziału kontyngentów w sensie przyśpieszenia procesów fuzyjnych. W sukurs przyszedł czynnik, o którym już wspomnieliśmy, mianowicie niespodziewanie wielki wzrost konsumcji cukru. Ostrze zagadnienia fuzyjnego doznało silnego stępienia. Z drugiej zaś strony potrzeba zachowania możliwie największego potencjału produkcyjnego cukrownictwa i rozsiania fabryk przesądziła tegoroczny i przyszłe (4 lata) podziały kontyngentów.

Na kampanię 1937/38 podniesiono kontyngenty cukrowe wszystkim cukrowniom o małych kontyngentach, a więc i tym, których fuzję przewidywano w ub. roku. Z tą chwilą niejako zrezygnowano z przebudowy strukturalnej przemysłu cukrowego, na drodze fuzyj.

Wobec tego musimy sobie dać odpowiedź na następujące dwa pytania:

1. Czy zeszłoroczny system podziału kontyngentów na kamp. 1936/37 dał pozytywne rezultaty, oraz

2. Czy zmiana metody nie zaważy na realizacji *zasadniczego celu dalszej obniżki ceny cukru?*

Odpowiedź na pierwsze pytanie jest łatwa i pozytywna. Właśnie dzięki, wywołanemu zeszłorocznym planem, wzmożeniu spożycia można było w roku bieżącym zastosować inne metody podziału kontyngentów. Należy może nawet żałować, że nie dokonano głębszej obniżki ceny cukru. Możeby przez to osiągnięto z jednej strony większy wzrost spożycia cukru, z drugiej zaś pewne oczyszczenie atmosfery w cukrownictwie.

Natomiast odpowiedzieć na pytanie, czy powiększenie ilości amatorów do udziału w nadwyżce konsumcji nie odroczy pogłębienia obniżki ceny cukru, jest bardzo trudno. Przede wszystkim wyłania się następujące pytanie: Które cukrownie mają większe koszty produkcji? Czy małe o dużym wykorzystaniu ich zdolności produkcyjnej, czy też średnie i duże lecz o małym wykorzystaniu zdolności produkcyjnej (bo taki jest z konieczności podział niewielkiego globalnego kontyngentu)? Odpowiedź na pytanie jest tem trudniejsza, że poza przestarzałym wydawnictwem Komisji Ankietowej, bodaj nie mamy odpowiednich w tym zakresie publikacyj. Gazeta Cukrownicza — zda-

[1]) „Gospodarka Narodowa" Nr. 3/36 „Cukier i Buraki". P. Kaltenberg.

[2]) Charakterystyczne jest to, że pomimo obniżki fabrycznej ceny cukru o ca 50% od kamp. 1931/32, ani jedna cukrownia *z tego powodu* nie zbankrutowała. W tym samym czasie przemysł cukrowniczy — jeden z najbardziej zadłużonych — znakomicie się oddłużył. Zestawienie dwu powyższych faktów daje niejakie pojęcie o rencie kontyngentowej, jaka mieściła się w cenie cukru.

wałoby się predestynowane do tego pismo — ma doskonale postawiony dział technologiczny. Daje w każdym numerze przegląd rynków eksportowych, chciaż eksport wynosi 500.000 q, zaś konsumcja wewnętrzna prawie 3.400.000 q, przy czem za cukier eksportowy cukrownie otrzymują maximum 10 gr za kg, zaś za cukier sprzedawany na rynku krajowym ponad 55 gr. Poza tendencyjnymi artykułami ekonomicznymi o bardzo niskim poziomie *Gazeta nie zajmuje się* tak atrakcyjnym w porównaniu z eksportem — *rynkiem wewnętrznym*.

Co gorsza — zamiast pożytecznej analizy np. kosztów produkcji, znajdujemy tam od czasu do czasu w rubryce „Z prasy polskiej“ bądź przedruki (przeważnie z „Czasu“) wypocin prasowych własnych oficjalnych „ekonomistów“, bądź też tak niebywałe odkrycie jak to, że bankructwa cukrowni „Sokołów“ i „Karwice - Ozierany“ są wynikiem... (proszę zgadnąć)... *nowej polityki rolnej* (sic!) [3]).

Trudno tedy odpowiedzieć na drugie z postawionych sobie pytań. Z tych i innych względów odpowiedź na nie pozostawiamy sobie na później. A może w międzyczasie odpowiedź da nam rzeczywistość?

W każdym razie jeśli z tytułu kompresji kosztów przerobu nie da się osiągnąć większych rezultatów, pozostaje w detalicznej cenie cukru mało co ruszona pozycja — akcyzy. O ile dochody ze sprzedaży spirytusu i tytoniu, jako używek, nie budzą w nas zastrzeżeń, o tyle cukier, a przede wszystkim *sól* nie powinny, naszym zdaniem, być źródłem wielkich dochodów Skarbu Państwa.

i. k.

WITOLD PTASZYŃSKI

DIFFERENTIA SPECIFICA DEWALUACJI

Przemiany, które zachodzą w cenach i kredycie w okresie podewaluacyjnym, mimo swej doniosłości, nie są bynajmniej specyficzne dla dewaluacji i istnieć mogą bez jakiegokolwiek z nią związku.

Zmiana powszechnego dla całości gospodarstwa narodowego czynnika obrotu stwarza nowe fakty na wszystkich odcinkach aktywności ekonomicznej. Różnarodność objawów zewnętrznych o praktycznie niezwykle doniosłych konsekwencjach pochłania uwagę, utrudniąc syntetyczne ujęcie mechanizmu obniżenia wartości pieniądza i ekonomicznych przeobrażeń z nim związanych. Należy przeto spojrzeć na dewaluację, mając także na uwadze zjawiska równie ogólne jak pieniądz i dlatego równoważne mu co do znaczenia. Mamy tu na myśli ceny i kredyt — rozumiane w sensie ogólnego poziomu i ruchu cen i ogólnej masy kredytu, jaką kraj dysponuje. Zagadnienie wymaga nieco szerszej niż zwykle podstawy teoretycznej dla pełnego wyświetlenia i jednocześnie dla stwierdzenia, o ile są pogłębione uwagi i obserwacje spotykane szczególnie w zagranicznej publicystyce na temat zasadniczych przeobrażeń gospodarczych, towarzyszących dewaluacji. Konkretniej: — stawiamy pytanie, czy najistotniejsze zjawiska towarzyszące dewaluacji na odcinku cen i kredytu stanowią cechę specyficzną dewaluacji, czy raczej są one objawami bardziej ogólnymi, które występują również poza zasięgiem polityki dewaluacyjnej. Zresztą, tylko pod tym ostatnim względem może być praktycznie interesującym zastanowienie się nad dokonanymi na Zachodzie eksperymentami walutowymi.

Nie ma cen stałych, bo nie ma stałych warunków produkcji i konsumcji, cena zaś jest wynikiem całokształtu tych warunków. Daje się to krócej i w sposób bardziej konkretny wyrazić twierdzeniem, że cena poszczególnego towaru jest zależna od cen wszystkich innych towarów. Takie sformułowanie teoretyczne jest dla tego możliwe, że wszelka zmiana np. w technicznych warunkach produkcji, jeśli posiada doniosłość ekonomiczną, wyrazi się prędzej, czy później w zmianie ceny odnośnego lub innego towaru, a ta z kolei wpłynie na przeobrażenie pozostałych cen.

Istnieją niewątpliwie czynniki (np. pogłoski fałszywe), które przeciwdziałają wzajemnej adaptacji cen, jednak niezaprzeczalnym zjawiskiem jest powstawanie pewnych sił — wektorów ekonomicznych — zmierzających do przywrócenia naruszonej równowagi. Równowagę tę wyrażają ceny teoretyczne, które nazwiemy wyrównawczemi. Odpowiadają one ściśle każdorazowym warunkom produkcji i konsumcji, czyli także wynikają z wszystkich technicznych właściwości (produkcyjności) procesów wytwórczych, oraz z wielkości wolumenu kredytów. Kredyt jest również czynnikiem kształtującym ceny wyrównawcze, gdyż jego dopływ lub odpływ w sposób niemal nieuchronny przesądza o zmianach właściwie obliczanych kosztów własnych. Wycofanie kredytu zmniejsza kapitał obrotowy przedsiębiorstw, czyli popyt tych przedsiębiorstw na surowce bądź popyt klientów na towar przedsiębiorstw wobec niemożności finansowania sprzedaży. Ceny wyrównawcze, które mimo swego charakteru niejako teoretycznego, są (pojęciowo) cenami rzeczywistemi, lecz nie ujawnionemi, reagują natychmiast na zanik popytu — najczęściej przez zniżkę swego poziomu. Pamiętając o tej dopełniającej roli kredytu w kształtowaniu się cen, możemy poza tem z całą pewnością mówić o istnieniu cen wyrównawczych, jako tych cen, które by istnieć powinny, gdyby przedsiębiorcy w każdym momencie i w sposób idealnie zupełny, zdawali sobie

[3]) Gazeta Cukrownicza Nr. 46/47 — przedruk z „Czasu“ Nr. 314.

sprawę z warunków rzeczywistych produkcji i konsumcji.

Chociaż praktycznie istnienie cen rynkowych równych cenom wyrównawczym nie jest możliwe (już choćby ze względu na fizyczne przeszkody odpowiednio ścisłego obliczania kosztów własnych) niemniej jednak pojęcie ceny wyrównawczej obrazuje pewien zupełnie wyraźny stan rzeczy, do którego nieuchronnie zmierzać będzie wszelkie życie gospodarcze, jak długo będzie ono oparte na zasadzie równoważenia wydatków i dochodów. Ponieważ nie znamy właściwej dla danego momentu i towaru wysokości ceny wyrównawczej, przeto możliwa jest tylko obserwacja kierunku tych ruchów ceny rynkowej, co do których nie ma wątpliwości, że odpowiadają przesunięciom w cenie wyrównawczej. Codziennym niemal przykładem takich ruchów jest zniżka cen wskutek stosowania ulepszeń i wynalazków. I tak np. radioodbiornik określonej doskonałości technicznej, kosztujący w 1924 r. zł. 400.— dziś kosztuje zł. 100 — 150.—. Innym przykładem jest niezwykły rozwój światowej produkcji sztucznego jedwabiu. Od roku 1913 do chwili obecnej zwiększyła się ona o przeszło 25 razy, co było możliwe jedynie dzięki stałej obniżce cen (w porównaniu z gatunkiem i cenami innych tkanin) w miarę udoskonalenia procesów wytwórczych, przy czem ceny rynkowe nie zeszły niżej cen wyrównawczych t. j. grosso modo odpowiadających kosztom własnym, gdyż taka obniżka nie mogłaby iść w parze z metodycznie wzrastającymi nawet w okresie 1929 — 1934 rozmiarami produkcji.

Przykłady powyższe dotyczą obniżenia cen efektywnych w kierunku ceny wyrównawczej, natomiast wzrost cen cukru wskutek złego urodzaju buraków odtwarzałby przesuwanie się ceny efektywnej w związku z podwyższeniem się ceny wyrównawczej. Identycznie dzieje się w wypadku dewaluacji pieniądza.

Dewaluacja — z punktu widzenia ruchu cen — stanowi gwałtowną zwyżkę cen wyrównawczych w porównaniu z ich dotychczasowym poziomem, wokół którego oscylowały ceny efektywnie praktykowane na rynku. W kraju (lub w grupie krajów), pozbawionym kontaktu gospodarczego z zagranicą, dewaluacja nie miałaby oczywiście żadnego wpływu na ceny wyrównawcze, podczas, gdy wpływ ten wzrasta w miarę wielkości obrotów zagranicznych w całości obrotów gospodarczych kraju (Szwajcaria, Belgia), oraz maleje w miarę doniosłości danego kraju, jako rynku zbytu lub zaopatrzenia dla reszty krajów (W. Brytania). Zwyżka towarów importowanych z zagranicy, jako możliwa do bezzwłocznego skalkulowania, staje się punktem wyjścia dla ogólnej zwyżkowej tendencji cen, ujawniającej się *w miarę zdobywania przez przedsiębiorców orientacji co do nowych warunków produkcji i konsumcji.*

Powoływanie się na przykład Anglii, jako kraju, który utrzymał poziom cen mimo dokonania dewaluacji, opiera się na pozorach cyfrowych, bez wnikania w głębiej tkwiące prądy gospodarcze. Poziom cen w Anglii był utrzymany z dwóch powodów: 1) ceny zagraniczne zniżkowały, czyli, że w porównaniu z niemi ceny angielskie wykazują normalną podewaluacyjną zwyżkę, jakąby również wykazały, gdyby ceny zagraniczne pozostały bez zmiany. 2) Dewaluacja objęła lub stopniowo obejmowała wielkie masy produkcji światowej, co wpływało na znacznie mniejszy wzrost cen wyrównawczych, niżby to pozornie można było sądzić na podstawie procentowego obniżenia dotychczasowego kursu waluty. Wynika stąd, że dzięki zachowaniu mało zmienionej równi między walutami zdewaluowanemi, terytoria krajów dewaluujących stały się z punktu widzenia rachunku walutowego jakby jednym obszarem gospodarczym. W ostatecznej konsekwencji australijski eksporter wełny nie miał powodu do podwyższania ceny, skoro ani maszyny do strzyżenia owiec i przygotowywania surowca wełnianego, ani samochody, ani radioaparaty ani wiele tym podobnych artykułów, nie zostało objętych żadną zwyżką istotną cen. 3) Rola Anglii, jako rynku międzynarodowej wymiany najważniejszych surowców światowych, oraz jako wielkiego konsumenta i wielkiego eksportera, przyczyniła się do osłabienia zwyżki cen towarów zagranicznych w porównaniu z zakresem dewaluacji funta szterlinga, co ponadto umożliwiło także innym państwom dewaluującym skorzystanie z tego hamulca przeciwzwyżkowego wraz z jednoczesnym wzmożeniem jego skuteczności.

Wymienione trzy powody zachowania przez Anglię niezmienionego poziomu cen są jednocześnie wyjaśnieniem zasadniczego mechanizmu, jakim jest poziom cen wyrównawczych. Światowe warunki produkcji i konsumcji kształtowały się w ten sposób, że ceny rynkowe w złocie obniżyły się w okresie od początku 1931 r. do połowy 1935 r. z 76 na 44, *co zapewniło* małą zmienność odpowiednich warunków w Anglii mimo zmiany wzorca walutowego dla stosunków gospodarczych z zagranicą.

Istotą cen wyrównawczych jest ich nieustanna niemal codzienna zmienność, a w każdym razie zmienność większa od wahań cen rynkowych, gdyż cena wyrównawcza nie jest niczem innem, jak tą ceną rynkową, która by istnieć powinna, gdyby kierownicy przedsiębiorstw wiedzieli o wszelkich zmianach warunków produkcji i konsumcji jednocześnie z zaistnieniem tychże zmian. Ponieważ nie jest to praktycznie możliwe, więc nieuchronne są opóźnienia w wahaniu cen oraz wahanie oparte na błędnym wyobrażeniu o zmianach warunków gospodarczych. Dobrze zorganizowana giełda w odpowiednio wyrobionym moralnie środowisku handlowym poważnie ułatwia uzgadnianie cen rynkowych z cenami wyrównawczemi t. j. z rzeczywistą sytuacją rynkową. Jednak i tu nie może być mowy ze względu tak na strukturę ustroju gospodarczego, jak i obecny stan techniczny, o wyeliminowaniu cen nie odpowiadających rzeczywistości ekonomicznej.

Mówiąc poprzednio, że ceny rynkowe posuwają się w kierunku wskazywanym przez ceny wyrównawcze i oscylują wokół tych ostatnich — mieliśmy na myśli „ostateczne" niejako ukształtowanie się cen. Oznacza to, że cena rynkowa, która pod wpływem błędnego wyobrażenia o zmianach warunków produkcji posuwa się ku górze i oddala się od ceny wyrównawczej, musi — w dosłownym znaczeniu tego wyrazu — zwrócić ze swej drogi i przybliżyć się do ceny wyrównawczej, choć oczywiście ta ostatnia ulega normalnie pewnym zmianom w międzyczasie. Określenie chwili nawrotu zależy zawsze od każdorazowych faktycznych warunków t. j. od organizacji rynku i służby informacyjnej.

Dewaluacja stanowi doskonały *przykład wiadomości ujawniającej się równocześnie prawie ze zmianą sytuacji gospodarczej* i dlatego jej wpływ na pewne grupy cen rynkowych jest niesłychanie szybki mimo prawno-publicznych hamulców (jak np. zakazy sprzedaży zapasów po cenach wyższych i t. p.). We Francji w ciągu 2 tygodni po ostatnio dokonanej dewaluacji wskaźnik cen wytworów importowanych podniósł się o 14%, pomimo niezwykłego zliberalizowania handlu zagranicznego (przeciętna obniżka wszystkich ceł o około 25% i zniesienie około 100 kontyngentów). Szybkość zwyżki ulega coraz większemu osłabieniu w miarę przenikania do rejonów życia gospodarczego bardziej odległych od kontaktów z zagranicą. W tych dalszych rejonach dokonywuje się także jakby amortyzacja spadku waluty poprzez coraz bardziej zanikający wzrost cen. We wspomianym dwutygodniowym okresie we Francji ceny wytworów francuskich wzrosły o 6% t. j. przeszło dwukrotnie mniej, niż ceny wytworów importowanych. Po okresie 7-tygodniowym od chwili dewaluacji ceny artykułów importowanych wzrosły o 23% (14% po 2 tygodniach), zaś ceny wytworów francuskich 8,1% (6% po 2 tygodniach). Zanikanie szybkości ogólnej *zwyżki cen* w miarę penetracji w życie gospodarcze zwyżki cen, zależnych bezpośrednio od parytetu waluty, odpowiada sui generis marży podewaluacyjnej ruchu zwyżkowego, którą to marżę w sposób ścisły określają ceny wyrównawcze nowoustanowione na skutek zmiany parytetu. Nowe ceny wyrównawcze powołane są do życia jednocześnie z dokonaniem dewaluacji, jedynie zaś ruch cen rynkowych nie odrazu wypełnia marżę zwyżki, jaką mu pozostawia nagły odskok cen wyrównawczych.

Wyjaśnia to z jednej strony duże znaczenie dewaluacji w walce z zatrzymaniem staczających się na dół *cen kryzysowych,* a z drugiej strony wskazuje *w chwili obecnej, gdy ruch zwyżkowy cen rozwija się motu proprio* — na niecelowość dewaluacji. Z punktu widzenia ściśle ekonomicznego, a zwłaszcza koniunkturalnego — przeprowadzanie dewaluacji w okresie tendencji zwyżkowej cen stanowi ilustrację przysłowia o „dwóch grzybach w barszczu".

Stosunek marży podewaluacyjnej do zakresu obniżenia parytetu, oraz związane z tym zagadnienie wzmożenia zdolności eksportowej stanowią dalszy ciąg rozważań, do jakich najchętniej byśmy przystąpili. Nie czynimy tego jednak, gdyż wobec współczesnych metod polityki handlu zagranicznego, ogólne rozważanie związków między poziomami cen kilku krajów jest filozofią typu „als ob". W danym wypadku musielibyśmy powiedzieć, co by się działo, gdyby wymiana międzynarodowa kształtowała się w przyszłości bez innych przeszkód (i pomocy!), niż zwykłe cła z 19 wieku.

Odpowiednikiem marży podewaluacyjnej jest marża porewaloryzacyjna, występująca względnie rzadko i to w postaci nie łatwo dostrzegalnej, a mianowicie wówczas, gdy stabilizacja waluty dokonywa się na poziomie wyższym, niżby to wynikało z dotychczasowego ustosunkowania się cen w kraju i zagranicą. My powiedzielibyśmy raczej, że rewaloryzacja t. j. przewartościowanie pieniądza następuje z powodu ustalenia takiego parytetu waluty, który powoduje obniżenie się cen wyrównawczych, a wraz z nimi narzuca kierunek zniżkowy cenom rynkowym.

Dziedzina kredytu wydaje się na pozór mniej dotknięta dewaluacją, niż dziedzina cen. Publicyści widzą co prawda pewne przemiany techniczne raczej niż ogólnoekonomiczne, a te ostatnie zwykle dostrzegają bądź na terenie stosunków z zagranicą, bądź wiążą je ze wzrostem poziomu cen i obniżonym w konkurencji ciężarem zadłużenia — i wreszcie z zagadnieniem oszczędności. Są to obserwacje niekiedy bardzo trafne, ale pomijając kraje o wielkim zadłużeniu zagranicznym, bynajmniej nie najbardziej istotne dla kształtowania się ogólnej koniunktury.

Wydaje się, że dewaluacja prowadzi w dziedzinie kredytu też do swoistego rodzaju marży, która tylko tem różni się od marży cen wyrównawczych, że *może,* a nie *musi,* być wykorzystana. Co prawda istnienie tej marży stwarza zbyt nęcące perspektywy bądź w oczach bankowości prywatnej, bądź kierowników polityki finansowej i inwestycyjnej państwa — aby przejść obok niej nie wykorzystawszy łatwo dostępnych możliwości. Możliwości te polegają na uzyskiwaniu nowych kredytów, a powstają w sposób nader prosty.

Dewaluacja zwiększa podstawę emisyjną centralnego banku narodowego równo o odsetek dokonanego obniżenia parytetu. 50 miliardów franków w złocie przy dewaluacji 30% oznacza wzrost rezerw o 15 miliardów, t. j. z 50 do 65 miliardów. Ponieważ bilety bankowe, emitowane są na podstawie powiedzmy 35% pokrycia, przeto dewaluacja stwarza od 40 do 45 miliardów franków dodatkowych możliwości emisyjnych. Nie tyle jednak efektywne i bezpośrednie emisje banknotów mają znaczenie dla powiększenia masy istniejących kredytów, ile przede wszystkim sam fakt, że *istnieje* w głównym banku redyskontowym podstawa do rozszerzenia jego aktywności, o ile by życie gospodarcze tego wymagało. Otóż właśnie stwierdzenie takiego faktu wystarczyć może do natchnięcia inną niż dotąd wiarą w przyszłość *przedsiębiorstw znękanych kryzysem.* Banki rozumują podobnie, mając na uwadze ewentualności, że w razie trudniejszej sytuacji bank redyskontowy życzliwie potraktuje ich portfel wekslowy, uzupełniając płynność w oparciu o rezerwy złota. W takim „klimacie" finansowym kredyt dość łatwo rozprzestrzenia się po kraju i, o ile stopa procentowa nie wzrasta zbyt szybko, ożywia swymi „zyskonośnymi" strumieniami działalność gospodarczą.

Jak mogliśmy się przekonać na drodze obliczeń statystyczno - bilansowych, przeprowadzonych dla Polski, Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych i Włoch (lata 1923 — 1933), rola ekspansji kredytu — przy czem ekspansji dokonanej bynajmniej nie na skutek dewaluacji, jest bardziej doniosła dla pomyślności gospodarczej, niż to uznają ekonomiści, dostrzegający w kredycie wyłącznie zjawisko wtórne procesów produkcyjno-konsumcyjnych, bądź zwolennicy koncepcyj Marx'a. Lepiej, naszym zdaniem, ocenili sens ekonomiczny kredytu teoretycy i praktycy bankowi, którzy w wielkiej pięciotomowej encyklopedii „Encyklopédie de banque et de bourse" (F. Marsal'a) tak sformułowali swój może nawet zbyt dalekoidący pogląd: „Nie transakcja handlowa stwarza kredyt, ale możliwość korzystania z kretytu stwarza transakcję". Ekspansja kredytowa nie jest wszakże koniecznością, jest natomiast możliwością,

którą zwolennicy polityki ekspansji — coraz bardziej liczni, jak o tem świadczy ostatnia publikacja genewskiego „Aperçu sur la situation monétaire", chętnie realizują bądź na terenie prywatno-gospodarczym, bądź przy współudziale aktywności publiczno-gospodarczej państwa. Na tym jedynie tle możemy zrozumieć, że projektowana *przed kilku laty* przez niektórych ekonomistów (np. Delaisi w „La bataille de l'or") ogólna dewaluacja wszystkich walut świata posiadałaby swój sens przez umożliwienie również ogólnoświatowej automatycznej ekspansji kredytowej z zachowaniem niezmienionych przez dewaluację cen oraz dotychczasowych zasad pieniądza i polityki pieniężnej. Użyliśmy tu wyrazu „ekspansja automatyczna", aby podkreślić naturalną skłonność do jej przeprowadzenia po dokonaniu dewaluacji, ale jest oczywistością ekonomiczną, (por. Keynes'a i innych!), że ekspansja kredytowa jako taka nie ma żadnego związku z obniżeniem parytetu waluty. Tak w jednym (dokonanie dewaluacji), jak i w drugim (utrzymanie parytetu) wypadku skutki ekspansji kredytowej w zakresie cen będą podobne w tym sensie, o którym już mówiliśmy przy analizie zjawiska cen wyrównawczych. Na ogół ceny wyrównawcze będą bardzo lekko ale stale zwyżkowały, o ile ekspansja kredytowa — jednak przeprowadzana bez jednoczesnej dewaluacji — rozwinie się w okresie pełnego wykorzystania zdolności produkcyjnej, natomiast w okresie częściowego wykorzystania tej zdolności — możliwe jest zachowanie dotychczasowego poziomu cen przy wzmożonych obrotach. W każdym razie ten wpływ ekspansji kredytowej (bez dokonywania dewaluacji) na ceny wyrównawcze wskazuje, że na tej drodze osiągnąć można w zakresie cen rezultaty nie tylko identyczne, ale nawet ekonomicznie dużo bardziej doskonałe, niż przy przeprowadzaniu dewaluacji. Gwałtowny podewaluacyjny skok cen, konieczność ich hamowania zarządzeniami administracyjnymi oraz inne zarządzenia i trudności — są w okresie ekspansji kredytowej, rozwijającej się bez obniżenia parytetu waluty, zastąpione zdrową na ogół i mocną tendencją cen, której nie towarzyszą żadne perturbacje na rynku.

Zresztą nie należy zapominać, że ekspansja kredytowa typu podewaluacyjnego t. j. taka, która nader prawdopodobnie powstaje po dewaluacji — stanowi obok faktu obniżenia parytetu normalny czynnik mocniejszej tendencji cen, jednak *tendencji w danym momencie już oczywiście najzupełniej zbędnej* wobec zbyt gwałtownej nawet zwyżki poziomu cen, zjawiającej się w takich okresach. Wszystkie te cienie dewaluacji są całkowicie nieznane ekspansji kredytowej, rozwijającej się bez obniżenia parytetu.

Okres ostatniej prosperity, któremu nie było znane zjawisko obniżenia parytetu walut oraz poprzednie okresy pomyślności gospodarczej, — zbadane od strony kredytowej — wykazują ogromną nadwyżkę nowych kredytów nad spłacaniem dawnych i ciężarami odsetek — i nadwyżka ta jest właśnie czynnikiem pobudzającym aktywność obrotów. W chwili obecnej Niemcy wkroczyły na drogę ekspansji kredytowej bez dokonywania dewaluacji (wszak rozważa się możliwość dewaluacji marki — a więc mimo pozorów nie ma jej jeszcze!). Choć politycznie i socjalnie, ze względów ubocznych — sytuacja Niemiec przedstawia wiele niejasności, to jednak koniunktura gospodarcza rozwija się tam w całej pełni. Dalszy jej rozwój jest natomiast o tyle niebezpieczny, że Niemcy *z naturalnej, określonej zdolnością produkcyjną kraju* ekspansji kredytowej przechodzą *mimo pozorów* na sui generis ukrytą inflację, co staje się szczególnie widoczne na tle całokształtu autarchicznej polityki gospodarczej. Anglia dokonała przed przeszło 5 laty dewaluacji funta, tak że dziś można z dużą słusznością powiedzieć, że ceny angielskie są oddawna ustalone na poziomie cen wyrównawczych i w granicach normalnych odchyleń tych cen. Obecna ekspansja kredytowa w Anglii jest przeto prawie bez związku z obniżeniem parytetu funta w 1931 r.

Czyniąc powyższe uwagi, nie pragniemy wypowiadać zdania o ekspansji kredytowej, gdyż celem naszym jest tylko wskazanie, że pogląd, dostrzegający ekspansję kredytową i jej dodatnie skutki wyłącznie jako rezultat dewaluacji, jest całkowicie błędny. Wręcz przeciwnie, niż pogląd ten głosi, stwierdzić należy, że ekspansja kredytowa może, była i jest przeprowadzana bez jakiegokolwiek bądź związku z obniżaniem parytetu.

Pomijamy świadomie zagadnienie wymiany zagranicznej i kształtowania się bilansu płatniczego, gdyż naszym zdaniem z jednej strony jest ono możliwe do rozwiązania nawet przy lekko zwyżkowej tendencji cen, z drugiej zaś takie właśnie jego rozwiązanie zależy od określonego ustosunkowania się polityki gospodarczej do podstawowych zagadnień ekonomicznych współczesnej epoki. Zagadnienia te wykraczają już jednak poza ramy techniki ekonomicznej.

Próbowaliśmy wskazać na dwa zjawiska — cen i kredytu, które nie będąc specyficznie związanymi z dewaluacją — *a to także pragnęlibyśmy podkreślić* — jednak w mechanizmie dewaluacyjnym lub raczej podewaluacyjnym stanowią istotną treść ekonomiczną. Najważniejszem jednak jest stwierdzenie pierwszego faktu, a mianowicie, że przemiany, które zachodzą w cenach i kredycie w okresie podewaluacyjnym, mimo swej doniosłości, nie są bynajmniej specyficzne dla dewaluacji, i że istnieć mogą bez jakiegokolwiek z nią związku. Jeżeli zatem pewne objawy gospodarczo korzystne lub niekorzystne przypisuje się dewaluacji, to wskazuje to bądź na brak zasadniczej orientacji w podstawowych przeobrażeniach podewaluacyjnych, bądź na używanie w wygodnym skórcie wyrazu dewaluacja dla przedstawienia zjawisk ekonomicznych, które pojawiły się razem z dewaluacją, choć mogły pojawić się w krajach niezmieniających parytetów swych walut. Nie tylko zresztą mogłyby się pojawić, ale także pojawiły się wielokrotnie w historii gospodarczej, tylko, że wówczas były obserwowane pod ich właściwemi nazwami: korzystnej tendencji cen i obfitości kredytu. W braku dewaluacji nikt ich dźwiękowo ani myślowo z dewaluacją nie łączył. Dzisiejsza praktyka językowa byłaby mało wadliwa, gdyby istotnie posiadała tylko naturę terminologiczną, ale wydaje się, że publicystyka gospodarcza w niektórych krajach wraz z terminologią zmieniła a nawet zatraciła również i istotne zrozumienie zjawisk. I dlatego należy podkreślić wiele rzeczowości, jaką wykazała na ogół publicystyka polska w czasie ostatniej dyskusji podewaluacyjnej, stwierdzając swą zdecydowaną niechęć do podnoszenia do roli zasad tego, co jest tylko cząstką bardziej ogólnych zjawisk gospodarczych.

NOTATKI

KASY KREDYTU BEZPROCENTOWEGO

Prezydent Roosevelt oświadczył w jednym ze swych ostatnich przemówień, że o ile motto wojny brzmi: „Silny zostaje na placu, słaby niech ginie!", o tyle mottem pokoju jest: „Niech silny pomaga słabszemu, aby mógł żyć".

Rooseveltowskie motto pokoju jest hasłem, pod którym powstają kasy kredytu bezprocentowego. Instytucje te są przeznaczone jedynie i wyłącznie dla t. zw. słabych rąk, po to, aby je wzmocnić. Krótkowzroczni przedsiębiorcy (przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy), których zaprasza się na członków-wspierających, odmowę swą uzasadniają argumentem, że przecież nie można dopuścić, aby za ich pieniądze wyrastali im pod bokiem mocni konkurenci. Argument taki nie wytrzymuje krytyki, albowiem najgorszym konkurentem jest przedsiębiorca... piwniczny, anonimowy, kalkulujący ceny usług i towarów według... ilości dziurek na pasku. Wzmacnianie „słabych rąk" wytwarza lepszą atmosferę lojalnej współpracy i takiegoż współzawodnictwa, jak również — dodatkowy rynek zbytu. Nędzarze nie są dobrymi odbiorcami, bo w ogóle trudno ich zaliczyć do rzędu odbiorców.

Dla kogo są przeznaczone kasy kredytu bezprocentowego? — Dla *drobnych* kupców i rzemieślników, którzy nie mogą uzyskać kredytu, albo za ten kredyt przepłacają. Przepłacają, bo są słabi. Jeżeli w normalnych spółdzielniach kredytowych mieszczańskich przeciętna kredytu na 1 pożyczkobiorcę wynosi ok. 500 zł, to w kasach kredytu bezprocentowego chodzi o kredyt bez porównania mniejszy, o 50 — 100 zł. Pieniądze te potrzebne są na zapłacenie podatku, na korzystny zakup towaru, na urządzenie sklepiku i t. p. Jako pożyczka, chociaż bezprocentowa, owe 50 czy 100 zł podlega zwrotowi i musi być *wygospodarowane*. Stąd też udzielanie pożyczek, opartych — co do swego pochodzenia — na filantropii (składki osób majętniejszych), nie jest filantropią, tylko tranzakcją *gospodarczą*. Trzeba więc dobrze znać rzeczywiste potrzeby i rzeczywiste możliwości kredytobiorców, zanim się im udzieli pożyczek. Gorzej przedstawia się sprawa finansowania rąk najsłabszych, t. zw. *kandydatów* na rzemieślników lub kupców. Ci kandydaci mają wszystko przed sobą, ale nic albo prawie nic za sobą i — przy sobie. Tutaj kredytowanie staje się *ryzykiem*, będąc jednocześnie *koniecznością* (chodzi przecież o *produktywne* zatrudnienie bezrobotnych miast i wsi, o akcję uprzemysłowienia kraju).

Kasy kredytu bezprocentowego są przedsięwzięciem o wiele trudniejszym, aniżeli się to na pierwszy rzut oka wydaje. Kto kasą kieruje, musi łączyć w sobie wartości ekonomisty, społecznika i filantropa, musi wiedzieć, kto zasługuje na *zaufanie* (bo przecież te kredyty oparte są de facto tylko na *solidności* dłużnika, a nie na formalnościach wekslowych), jaka jest hierarchia potrzeb etc. O finansowaniu potrzeb konsumcyjnych, o udzielaniu pożyczek na przetrwanie itp. mowy być nie powinno. Lepiej już rozdawać pieniądze w postaci subwencyj, aniżeli łudzić się, że kredyt konsumcyjny lub filantropijny zostanie zwrócony albo, że zużyty będzie celowo i pożytecznie.

Kasom kredytu bezprocentowego — polskim kasom — grozi obecnie jeszcze jedno dodatkowe niebezpieczeństwo: rozstrzelenie wysiłku, celów i organizacji. Wszyscy wszystkim chcą pomagać, wytwarza się chaos, a pieniędzy jest mniej, niż ambicji... odkrycia Ameryki. Nie jest potrzebne „glajchszaltowanie" kas i metod pracy, ale jakieś *ramy* i *zasady* muszą być ustalone. Stopniowo świadomość planowej akcji zaczyna przenikac do ruchu, który powstał — trzeba to podkreślić — samorzutnie i z inicjatywy prywatnej (społecznej). Obecnie, kiedy ruch ten zaczyna krzepnąć i pojmować, co jest jego sensem i zadaniem, nadszedł czas na *wyraźne* sformułowanie celów i metod. Kasy, jeżeli oprą się o dobrą wolę „silnych", mogą odegrać duże i dodatnie znaczenie w akcji podnoszenia gospodarczego „słabych", a ponieważ imię ich — Legion, więc i podnoszenia całości gospodarstwa narodowego.

k. b.

EGOISTYCZNA UŻYTECZNOŚĆ PUBLICZNA

Gdy rolnik kupuje krowę na mleko lub wieprzka na utuczenie, trudno od niego wymagać, ażeby miał inny cel na widoku poza tym, aby sobie i najbliższym przyspożyć korzyści.

Gdy handlowiec lub przedsiębiorca mobilizuje wszystkie swoje talenty, ażeby możliwie najbardziej rozszerzyć odległość pomiędzy kosztem własnym a uzyskiwaną ceną za swe artykuły — pozostaje to jego prywatną sprawą dopóty, dopóki nie wchodzą w grę osoby trzecie (im więcej, tem prędzej), bądź też...... kodeks karny.

Gdy przedsiębiorstwo jest użyteczności publicznej, względnie jest tak wielkie, że przez swe istnienie po prostu zainteresowuje całą społeczność — wtedy sprawy tych przedsiębiorstw są sprawami społecznemi.

Klasyczne podręczniki ekonomii powiadają, że przedsiębiorstwa użyteczności publicznej z racji swego specjalnego stanowiska mają szereg obowiązków szczególnych.

Ford powiada, że dążenie do osiągania zysków w przedsiębiorstwie jest konieczne dla kontroli sprawności przedsiębiorstwa.

Z biegiem czasu, prawdopodobnie ze wzrostem wielkości przedsięwzięć, chęć zysku jest coraz wstydliwiej przysłaniana bardziej pięknymi parawanikami. Optymiści twierdzą, iż nie są to zwykle konwenansowe etykietki, że odbywa się w naszym życiu publicznym głęboki proces psychiczny. Proces uspołeczniania działalności ludzkiej. Zamiast celów gospodarczych — egoistycznych, przyświecać mają wszelkim poczynaniom cele społeczne — altruistyczne. Jakże wygląda konfrontacja teorii z praktyką? Weźmy parę pierwszych lepszych przykładów.

W tramwajach warszawskich jest piekielny tłok (17 na Żoliborz). Czcigodny skądinąd Zarząd najspokojniej w świecie korzysta ze swej sytuacji monopolisty, inkasując rentę kontyngentową, którą dla

specyficznych warunków można byłoby nazwać „rentą tłokową“. A gdzież są szczególne obowiązki przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, wobec skazanych na jego usługi obywateli?

Elektrownia wprowadza taryfę blokową. Zastanówmy się, komu ona przyniesie korzyść? Taryfa przez zróżniczkowanie stawek przynosi korzyści przy dużym spalaniu prądu. Na to sobie pozwalają ludzie, którzy się nie liczą z tem, ile się światła wypali. Biedna, niezamożna, czy średnio zamożna rodzina, która liczy się z każdym groszem, nie będzie dlatego więcej paliła, że po przekroczeniu X zł zapłaci już tylko Y, zamiast 2X lub 3X. Rodzina taka nie przekroczy X, bo ją na to nie stać, chyba, że to X będzie bardzo niskie. Nie o to jednak chodzi.

Podobno nowa taryfa ma dać nawet ubytek wpływów elektrowni. Poco? Czy po to, ażeby zaoszczędzić wydatków tym, którzy nie oszczędzają, *kosztem* tych, co oszczędzać muszą?

Wpływy za prąd stanowią pewną określoną wielkość zmienną. Gdy elektrownia traci na konsumentach spalających wiele, ciężar kosztów rozkłada się na wszystkich, a więc i na masę drobnych spożywców prądu. Vice versa — można byłoby tak skonstruować taryfę, że obniżka cen prądu mogłaby być rozłożona na luksusowe zużycie. Mianowicie zrobić degresję opłat. Taniej liczyć prąd biedakom. Np. używającym tylko jednej — dwu żarówek. Otóż tu wyłazi już nie gospodarczy, a egoistyczny interes twórców taryfy. Nie musi to być zła wola, po prostu mogła podświadomie działać sugestia własnej sytuacji. Mogła to być również kopia obcych wzorów, zaczerpniętych ze społeczeństw zamożnych. U nas na każdym kroku trzeba szukać własnych, rodzimych metod, dostosowanych do własnej, rodzimej „bidy“. Należy bowiem zdawać sobie sprawę z tego, że zarówno wprowadzenie niższych stawek dla prądu zużywanego ponad pewną ilość (koncepcja obecna blokowa), jak umożliwienie korzystania z taniego prądu warstwom najmniej zamożnym, spowoduje ten sam, pożądany dla elektrowni efekt, — zwiększenia globalnego zużycia prądu. Nie mam potrzebnych po temu danych, ażeby ustalić w jakim wypadku nastąpi większe zużycie prądu. Zresztą mi nie o to chodzi. Co będzie dla elektrowni korzystniejsze — pozostawiam jej ocenę. Natomiast twierdzę z całą stanowczością, *że społeczny ciężar gatunkowy koncepcji tu zaproponowanej jest bez porównania większy od realizowanej.*

p. k.

NIEPOWAŻNE...

Przed paroma tygodniami ukazał się w „Expressie Porannym" artykulik, w którym ex re otwarcia nowej kolei Toruń — Sierpc można było czytać m. in. co następuje:

„Każdy nowy kilometr toru zbliża nas coraz bardziej do poziomu technicznego Europy, z której chciały nas wymazać państwa rozbiorcze. Każdy kilometr toru jest życiodajną arterią, strumieniem nowych sił gospodarczych... Poświęcenie zapory wodnej na Sole w Porąbce, otwarcie nowej linii kolejowej — to dwa fakty o wielkiej doniosłości cywilizacyjnej i psychologicznej, są bowiem dowodem pozytywnej walki z kryzysem i wszechstronnego podciągania Polski wzwyż”.

I prawdziwe i słuszne. Inwestycje kolejowe i wodne są bezspornie inwestycjami, na które warto wydawać pieniądze publiczne, bo usuwają one skutki zaniedbania, w jakim żyliśmy przez dziesiątki lat niewoli, i niewątpliwie odgrywają rolę cywilizacyjną, jak każda arteria komunikacyjna czy źródło siły napędowej i światła. Prawdą jest również, że przed wojną budowano w Polsce po 200 km rocznie, gdy po wojnie przeciętnie tylko 100 km, nie należy jednak zapominać, że primo — lata przedwojenne były gospodarczo znacznie lepsze niż powojenne (w okresie 1919 — 1936 dwa lata wojny polsko-bolszewickiej i siedem lat ciężkiego kryzysu posiadają swoją specjalną wymowę), secundo — intensywnie budowali koleje tylko Niemcy, a tertio — na ostatnie kryzysowe siedmiolecie przypada, dla ścisłości, nie 100, lecz 130 km toru rocznie.

Ważniejszą jednak kwestią jest sprawa *społecznego odgłosu* inwestycyj, czynionych w interesie publicznym za publiczne pieniądze. Tyle się przecież słyszy narzekań (z palca najczęściej wyssanych) na marnotrawienie grosza publicznego, na wypłacanie zasiłków darmozjadom, na to, że Niemcy, Włosi i bolszewicy potrafią wszystko, tylko my, panie dzieju, nic... Dlaczego poczucie, że my sami, o własnych siłach dźwigamy Polskę w górę, nie ma być powszechne? Dlaczego poczuciu temu nie ma towarzyszyć wiara w twórczą inicjatywę społeczeństwa, rządu, jednostek, wiara, przełamująca staropolski „Minderwertigkeitskomplex"? Walce z tym kompleksem, prowadzonej przy pomocy *konkretnych* faktów, powinna — sądzimy — sekundować prasa, która znacznie częściej gubi się w płytkich sensacjach krajowych i „ósmych cudach świata” zagranicznych, aniżeli rejestruje nasze własne dokonania, zrealizowane pomimo krakań zawodowych opozycjonistów i pesymistów.

Piszemy to wszystko nie w obronie cyt. artykuliku, lecz z powodu wystąpienia w tej sprawie narodowego dziennika ABC, który pozwolił sobie na niepoważny żart, przyrównywując propagandę polskiego *czynu*, o który w Polsce trudniej, aniżeli o złośliwość i krytykę, do... wyboru „miss Polonia”.

z. i.

DZIWOLĄGI

Słuszna w swej zasadzie akcja Rządu, zmierzająca do pohamowania zwyżki cen, obfituje przy wykonaniu w pewne — powiedzielibyśmy — dziwactwa.

Tak np. kilkakrotnie (ostatnio „Instrukcja w sprawie nadzoru nad cenami" z 5.XII. 1936 r.) włożono na handel obowiązek ujawniania cen przedmiotów powszedniego użytku, obowiązek, dotyczy zarówno detalistów, jak i hurtowników. Pięknie i celowo, ale... spis artykułów, których „ceny podlegają ujawnieniu przez handlujących nimi zawodowo", budzi — skromnie mówiąc — zdziwienie. Rozumiemy dobrze, iż trudno było w spisie „artykułów powszedniego użytku" pominąć ziemiopłody, mięso i jego przetwory, ryby, nabiał i jaja, niektóre towary kolonialne, opałowe i odzieżowe; nie bardzo jest natomiast jasne, czem się kierowano, umieszczając na obwarowanej grzyw-

ną 1.000 zł lub karą 1 miesiąca aresztu liście artykuły budowlane, urządzenia domowe („np. stoły, szafy, łóżka, krzesła"), wyroby gotowe dla produkcji i użytku gospodarstw rolnych tudzież rzemiosła, przybory szkolne lub artykuły sanitarne. Obowiązek ujawniania cen, który w równej mierze dotyczy mąki, obuwia, kołder, spinek, wanien żeliwnych, naczyń fajansowych, zapałek(!), dziegciu, maszyn do szycia, gumy do ołówka, termometru i skór — staje się, krótko mówiąc, obowiązkiem zasadniczo bezkompromisowym i nieuznającym żadnych wyjątków. Tak jest: żadnych — albowiem w każdej grupie artykułów, stanowiących załącznik do wspomnianej Instrukcji, figuruje skromny dopisek: „i t. p.", co w praktyce oznacza: wszystko, czego dusza (administracji) zapragnie. A że to nie są błahostki, najlepszym dowodem jest komunikat „Iskry" z 22 XII. 1936 r., w którym m. in. czytamy, iż „władze administracyjne stwierdziły, że specjalnie artykuły sportowe i podróżne w wielu wypadkach nie są zaopatrzone na wystawach w ceny jednostkowe". Ta rozbrajająca troska o ujawnianie cen neseserów lub kijków do nart dziwnie tylko nie pasuje do patrzenia przez palce na powszechny (przynajmniej w Warszawie) brak ujawnionych cen np. pomarańcz, cen, które wykazały dużą skłonność do t. zw. spekulacji.

br.

NARESZCIE...

O polskiej polityce motoryzacyjnej pisano już b. wiele, a zawsze nieprzychylnie, zjadliwie, krytycznie. Zapewne, ani ilość samochodów, ani ich cena, ani podatki drogowe, ani cena benzyny nie mogą wzbudzać entuzjazmu, jak nie można pochwalać łamańców polityki w ścisłym tego słowa znaczeniu motoryzacyjnej, która stawiała to na import, to na własną produkcję wysoko chronioną, to wreszcie na skromny montaż.

W tych wszystkich krytykach i złośliwościach było jednak sporo nieścisłości i przesady. Podatki od samochodu wartości 6.000 zł. nie przekraczają 10 zł. miesięcznie i stanowią tylko 4% ogólnych kosztów utrzymania samochodu (bez amortyzacji). Same ubezpieczenia są pięciokrotnie wyższe od podatków, co jest zrozumiałe na tle stanu naszych dróg i naszego bezpieczeństwa (kradzieże). Ale wszystkie te razem wzięte wydatki, jakie musi ponosić właściciel samochodu, nie przekraczają — bez amortyzacji — 2.900 zł. rocznie, podczas gdy w Danii wynoszą one rzekomo tylko 1.900 zł. Główną różnicę stanowi drożyzna polskiej benzyny (Dania kupuje benzynę po cenach dumpingowych), ubezpieczeń oraz opon.

Rzecz jednak nie w tem, że Polak płaci na utrzymanie swego samochodu o tysiąc złotych więcej od Duńczyka. Nawet gdyby te koszty wynosiły w Polsce to samo, co w Danii, czyli 150 zł. a nie 250 zł. miesięcznie, to i tak motoryzacja Polski nie uczyniłaby gwałtownego kroku naprzód. Przybyłoby zapewne nie 4.000 samochodów, jak to miało miejsce w r. ub., ale może 8 albo 12 tysięcy. Zasadniczo jednak nie ma co liczyć na jakąś rewolucję w tym względzie.

Dlaczego? — Dlatego, że jak słusznie przypomniał „Kurier Polski" (12.I.), mamy w Polsce raptem 40.000 osób, zarabiających powyżej 1.000 zł. miesięcznie. Jeżeli założymy, że wszyscy ci „potentaci" chcą mieć samochód, a mogą sobie pozwolić i na kupno samochodu za 6.000 zł. i na jego utrzymanie w stosunku — powiedzmy — 150 zł. miesięcznie (w praktyce 250), to trudno dojść do wniosku, że ilość samochodów przekroczy owe 40.000. „Nie łudźmy się — konkluduje „Kurier Polski" — nadzieją masowej motoryzacji, jak długo trwają obecne warunki ekonomiczne. Tylko zamożne społeczeństwo o wysokiej stopie dochodu może sobie pozwolić na nabycie setek tysięcy samochodów. Motoryzacja jest funkcją dobrobytu powszechnego", a czy ten ostatni zależy czy nie zależy od „właściwej polityki gospodarczej" to jest kwestia drugorzędna.

Nareszcie więc na łamach prasy codziennej, skorej do taniej demagogii i uproszczeń, stwierdzono korelację pomiędzy ilością samochodów a — dajmy na to — ilością ludzi, chodzących boso...

k. b.

PYTANIA

„Czas" w Nr. 12 z dnia 12 stycznia b. r. poświęcił swój artykuł wstępny uwagom na temat rentowności przedsiębiorstw państwowych. Analizując przedsiębiorstwa z grupy „B" budżetu i sumując zyski bilansowe (bez odejmowania strat przedsiębiorstw deficytowych), autor artykułu doszedł do wniosku, że przeciętny wynik roczny dla okresu 1927/28 — 1935/36 wynosi 249 milionów zł. Wymieniona kwota, porównana z ogólną średnią wartością majątku wszystkich przedsiębiorstw z grupy „B", daje 2,07%. Przytoczone liczby upoważniają autora do wniosku, że „wyniki finansowe polskich przedsiębiorstw państwowych nie osiągnęły niestety tego poziomu, który by można uznać za wystarczający z punktu widzenia wymagań, jakie postawiliśmy dochodowości gospodarki państwowej, wysuwając formułę minimalnego oprocentowania kapitału zakładowego".

Powyższe rozumowanie wymaga pewnych wyjaśnień, których w rzeczonym artykule nie znajdujemy. Aby końcowe wnioski autora były obiektywnie słuszne, musielibyśmy wiedzieć, ile wynosi owo „minimalne oprocentowanie kapitału zakładowego" przedsiębiorstw państwowych, a jeżeli dowiemy się ile, to w takim razie postawimy pytanie: dlaczego tyle właśnie, a nie mniej lub więcej? Ponadto pozwolimy sobie zapytać, czy uchwycona rentowność jest porównalna z rentownością przedsiębiorstw prywatnych, czy też nie nadaje się do porównań, chociażby dlatego, że ilość przedsiębiorstw jest niewielka i są one z różnych dziedzin (branż), po 1 — 2 z każdej. W dalszym ciągu pozwolilibyśmy sobie zadać pytanie: czy jest rzeczą słuszną włączać do rozpatrywanych zysków i kapitałów zakładowych zyski i kapitał zakładowy przedsiębiorstwa w gruncie rzeczy monopolistycznego i tak zupełnie odrębnego w swej strukturze i swych zadaniach, jakimi są P. K. P.? Wreszcie chcielibyśmy zapytać, czy istotnie badany okres można zaliczyć do „normalnych warunków", o których autor cyt. artykułu pisze, że przesądzają „samowystarczalność" i minimalną rentowność gospodarki państwowej.

Po odpowiedzi na powyższe pytania chętnie podejmiemy dalszą dyskusję, w której nie omieszkamy o rentowności przedsiębiorstw państwowych powiedzieć kilku szczegółów, opuszczonych z braku miejsca w cyt. artykule „Czasu".

z. i.

NA CZASIE

Koleje polskie i krajowe biura podróży prowadzą od dłuższego już czasu akcję, propagującą Polskę jako cel dla wycieczek zagranicznych. Dała ona dotychczas dosyć skromne wyniki, obecna wizyta holenderskiej pary książęcej w Krynicy może się jednak stać przełomowym momentem dla zainteresowania turystów Polską. Powinniśmy sobie zdać sprawę z tego, czy jesteśmy przygotowani do spełnienia roli gospodarzy w taki sposób, ażeby goście z zagranicy chętnie do nas powracali i przyczyniali się w swoich krajach ojczystych do propagandy wyjazdów do Polski.

W dziedzinie turystyki na plan pierwszy wysuwają się zagadnienia komunikacyjne i hotelarskie. Jeżeli chodzi o komunikację kolejową, to można pod tym względem mieć takie czy inne aktualne zastrzeżenia i dezyderaty, niewątpliwie jednak stoi ona na poziomie wystarczającym dla zapewnienia minimum wygód wybrednym turystom krajów zachodniej Europy. Gorzej już przedstawia się sprawa dróg kołowych, następuje tu jednak z każdym rokiem poprawa, a ponieważ radykalnego usprawnienia ze względu na olbrzymie związane z tym koszty z roku na rok wymagać nie można, z konieczności należy pogodzić się ze stanem obecnym.

Inaczej zupełnie jest z kwestią hoteli. Przyzwoite hotele poza stolicą, posiada w Polsce kilka tylko miast, przy czem jeżeli stoją one naprawdę na wysokim poziomie, to ich ceny znacznie przekraczają możliwości przeciętnego turysty. Zresztą nie tutaj tkwi sedno trudności. Zastanawiając się nad tem czego szukać może u nas turysta zagraniczny, musimy przyjść do wniosku, że główna jego uwaga nie będzie spoczywała na zabytkach architektonicznych i muzealnych. Kraj nasz zbyt często był niszczony przez różne zawieruchy dziejowe, ażebyśmy mogli pod tym względem naprawdę skutecznie konkurować z szeregiem innych państw europejskich. Turystę zagranicznego pociągać będzie przede wszystkim folklor i egzotyzm, z jego punktu widzenia, naszej przyrody, wsi i miasteczek. Tymczasem stan hotelarstwa w ogromnej większości miast i miasteczek prowincjonalnych, a nawet niektórych uzdrowisk, wyklucza z góry możność przenikania do nich turysty zagranicznego. Wyobraźmy sobie jakiegoś Anglika czy Holendra, któremu wypadnie zanocować w Kazimierzu, Sandomierzu, a choćby nawet Grodnie. Wątpić bardzo należy, czy znalazłoby się między nimi wielu takich, którzy zechcieliby eksperyment ten powtórzyć.

Ponieważ inicjatywa prywatna nie zdobyła się dotychczas na rozwiązanie tego zagadnienia, a jedną z głównych zainteresowanych w turystyce instytucyj są koleje, z dużym uzasadnieniem można pod ich adresem skierować dezyderat choćby częściowego rozwiązania tego problematu. Koniecznem byłoby ustalenie przede wszystkim typu takiego hotelu turystycznego. Można by przyjąć za najodpowiedniejsze dla naszych warunków coś pośredniego między hotelem a schroniskiem. Musiałby on posiadać 6 — 8 pokoi podwójnych, salę dla wycieczek, bieżącą wodę, łazienki, prysznice, salę jadalną, świetlicę. Koszt budowy takiego hotelu - schroniska, można by przyjąć orientacyjnie na 200.00 złotych, wybudowanie więc ich w piętnastu miejscowościach wyniosłoby około trzech milionów.

Suma potrzebna dla zrobienia zdecydowanego kroku naprzód w kierunku podniesienia poziomu warunków turystycznych w Polsce nie jest więc wcale zawrotna, zarówno na tle budżetu P. K. P., jak i planu inwestycyjnego. Hotele kolejowe odegrałyby rolę pionierską i stałyby się niewątpliwie wzorem dla analogicznych przedsiębiorst prywatnych. Podobny charakter miały hotele tego typu na Zachodzie, przede wszystkim we Francji. Może uwagi powyższe zostaną podchwycone i rozwinięte przez powołane do tego czyniki.

a. r.

PRZYCZYNEK DO BADAŃ...

W jednym z ostatnich wywiadów czy też komunikatów Dyrekcji Tramwajów Miejskich zapowiedziane zostało zbadanie kwestii dalszego obniżenia taryfy przez zrównanie ceny biletów upoważniających do przesiadania się z tramwajów na autobusy lub odwrotnie z ceną analogicznych biletów w komunikacji czysto tramwajowej. Jak wiadomo różnica ta wynosi 5 groszy.

O wielkim rozmachu zamierzonego posunięcia a tem samem i podjętych badań świadczyć może następujący maleńki autentyczny przykład z życia. Przed paru dniami poprosiłem konduktora tramwajowego o bilet korespondencyjny na autobus. Konduktor na najbliższym przystanku zwrócił się do swego kolegi z wozu przyczepnego z prośbą o odsprzedanie mu takiego jednego biletu. Sam bowiem nie był w nie zaopatrzony. Tłumaczył się potem przede mną, że przez ostatnie trzy tygodnie nie sprzedał ani jednego biletu tego typu a miał ich w zapasie... aż pięć. Dziś jednak właśnie jechało jakieś większe towarzystwo i wszystkie bilety wykupiło. A więc mniej więcej sześć biletów miesięcznie na konduktora. Mnożąc 30 groszy przez ilość konduktorów otrzymamy w przybliżeniu wysokość kwoty miesięcznej przeznaczonej przez Dyrekcję Tramwajów na rzecz potanienia komunikacji miejskiej.

a. r.

Z powodu notatki pt. „Czy Polityka Gospodarcza" czy interes polityczny", zamieszczonej w numerze 22/1936 „Gospodarki Narodowej" wystosowaliśmy do p. Stanisława Lauterbacha red. „Polityki Gospodarczej" następujące pismo:

18.XI.1936.

Szanowny Panie Redaktorze.

W numerze 22 „Gospodarki Narodowej" zamieściłem notatkę pt. „Czy „Polityka Gospodarcza" czy interes polityczny", polemizującą z artykułem „Polityki Gospodarczej" na temat traktatu handlowego z Niemcami.

Pomijając w tej chwili całkowicie kwestię merytoryczną, śpieszę zakomunikować Panu Redaktorowi, że na skutek przeoczenia redakcji w notatce tej znalazły się gołosłowne zarzuty osobiste, co oczywiście nie odpowiada zwyczajom polemicznym Gospodarki i zostanie w najbliższym numerze wyjaśnione.

Zaznaczam, że wyjaśnienie to dotyczyć będzie tylko powyższych osobistych momentów, gdyż pod względem merytorycznym niestety zarzuty dotyczące oceny traktatu niemieckiego przez „Politykę Gospodarczą" wydają mi się uzasadnione.

Z poważaniem

(—) Zygmunt Szempliński.

W odpowiedzi otrzymaliśmy pismo nast. treści:

Dnia 21 listopada 1936 r.

Szanowny Panie Redaktorze.

Potwierdzam odbiór listu Pana z dnia 18 listopada b. m. i komunikuję uprzejmie, że mógłbym zrezygnować z reagowania na notatkę „Gospodarki Narodowej" tylko w tym wypadku, gdyby wyjaśnienie, które Pan zamierza dać do najbliższego numeru „Gospodarki", było zredagowane wspólnie ze mną.

W razie pozytywnego ustosunkowania się Pana Redaktora do mojej propozycji, prosiłbym, aby Pan łaskawie miał na uwadze, że 25 b. m. oddaję mój najbliższy numer do drukarni.

Z poważaniem

(—) Lauterbach.

Odpowiedź nasza brzmiała:

25.XI.1936.

Szanowny Panie Redaktorze.

List Pański datowany z dnia 21 b. m. otrzymałem w dniu 24 b. m.

W odpowiedzi na Pańską propozycję wspólnego zredagowania wyjaśnienia w „Gospodarce Narodowej" w sprawie notatki polemicznej, dotyczącej Polityki Gospodarczej uprzejmie komunikuję, że zarówno mój list do Pana, jak i wyjaśnienie, które opublikuję, są wyłącznie wyrazem moich poglądów na właściwe metody polemiki publicystycznej.

Myśl o zapobieganiu Pańskiej reakcji była mi zupełnie obca, to też zdziwił mnie ustęp listu Pana, w którym komunikuje mi Pan, iż mógłby zrezygnować z reakcji pod pewnymi warunkami.

Z tych względów nie uważam za potrzebne i możliwe uzgodnianie z Panem tekstu wyjaśnienia, które ukaże się w najbliższym numerze „Gospodarki Narodowej".

Tekst ów przy niniejszym załączam.

Z poważaniem

(—) Zygmunt Szempliński.

Tekst ów zamieszany przez nas w numerze 23/1936 G. N. brzmiał następująco:

W numerze 22. „Gospodarki Narodowej" z dnia 15. listopada b. r. zamieściliśmy notatkę pt. „Polityka Gospodarcza" czy... interes polityczny", polemizującą z artykułem Polityki Gospodarczej na temat traktatu handlowego z Niemcami.

W notatce tej obok zarzutów merytorycznych znalazły się niestety zarzuty natury osobistej, co oczywiście nie odpowiada zwyczajom publicystycznym „Gospodarki Narodowej", a wynikło jedynie z błędnych informacyj autora co do związków dwutygodnika „Polityka Gospodarcza" z grupami pewnych interesów przemysłowych, oraz z przeoczenia redaktora, który powyższych błędów nie zauważył i nie skorygował.

Pomimo to „Polityka gospodarcza" uważała za stosowne zamieszczenie w notatce p. t. „Nieprzyzwoita napaść" Nr. 28/29 — 1936, następujących zdań:

W Nr 22 **„Gospodarki Narodowej"** ukazała się notatka „polemiczna", skierowana przeciwko naszym wywodom w sprawie umowy kontyngentowej z Niemcami. Autorowi notatki nie wystarcza utrzymanie swego wystąpienia w ramach walki rzeczowej, choćby najbardziej ostrej, nie potrafi on stosować cięć choćby personalnych, ale — przyzwoitych, to też całą swą notatkę ujął w sposób taki, że nie sposób jej scharakteryzować inaczej jak stwierdzeniem, że jest ona insynuacją osobistą. Nie czujemy się dotknięci tem wystąpieniem „Gospodarki Narodowej" i spokojnie przechodzimy nad nim do porządku dziennego, gdyż wiemy, że podobne metody zawsze zwracają się przeciwko tym, którzy się niemi posługują. Pozwalamy sobie sądzić, że „wyjaśnienie" tej sprawy, zawarte w Nr 23 „Gospodarki", w niczem nie może zmienić opinii Czytelnika o postępku wspomnianego pisma: zamiast bowiem zredagować „wyjaśnienie" z siłą równą natężeniu nieprzyzwoitej agresji, czyli **rzeczywiście** ją przekreślić, pismo to zasłania się „przeoczeniem redaktora" i t. p. okolicznościami. A to oznacza poprostu, że „wykręca się sianem".

Z powyższego przebiegu sprawy łatwy dla nas wniosek. Kurtuazja jest rzeczą słuszną, lecz tylko wtedy, kiedy skierowana jest pod właściwym adresem.

Reakcja p. Lauterbacha zarówno na nasz list, jak na nasze wyjaśnienie jest wyraźnym dowodem, że w danym wypadku nasza chęć kurtuazyjnego załatwienia sprawy była wyraźnym błędem.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.